

## Dariusz Karłowicz: Reset czy rewolucja?

Czy jednym z głównych wyzwań politycznych naszej doby nie jest trwałość istniejącego porządku, która obraca się przeciwko znacznej części wspólnoty politycznej, odbierając jej godność, wolność i nadzieję na lepszy los? Czy stabilność niepoddawana korektom nie staje się toksyczna i niehumanitarna? – pytał Dariusz Karłowicz w eseju, który ukazał się w 11. numerze rocznika „Teologii Politycznej”, zatytułowanym „Liberalizm pęknięty fundament”.

*Dlatego też nie łudźmy się, że zawsze  
Mamy przed sobą przyszłość: jakieś jutro.  
Nie mamy go, dopóki dzień dzisiejszy  
Nie minie i nie skończy się szczęśliwie [1].*

Blisko siedemdziesiąt pięć lat pokoju to w historii Zachodu okres bez precedensu. W dorosłe życie wkracza już trzecie pokolenie Europejczyków znających wojnę wyłącznie z opowieści. W całej historii kontynentu darmo szukać epoki, w której codzienność tak bardzo oderwałaby się od wojny jako zwykłego doświadczenia jednostek i wspólnot. Idzie zresztą nie tylko o pokój, ale i o spokój – o błogosławiony brak wielkich wstrząsów, rewolucji, przewrotów czy niszczycielskich kryzysów – innymi słowy: o nieobecność traumatycznego doświadczenia nieciągłości wynikającej z bolesnego rozpadu i późniejszej rekonstrukcji struktur politycznych, gospodarczych czy społecznych. Powojenny euroatlantycki ład

zagwarantował stabilność, która wcześniej wydawała się nieosiągalna, podobnie jak nieosiągalny wydawał się zbudowany na tym fundamencie dobrobyt. Wszystko to wiemy doskonale. Skoro jednak tak trudno przecenić zalety obecnego stanu rzeczy, to dlaczego jest on tak kontestowany? Dlaczego przygotowania do obchodów siedemdziesiątej piątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej upływają pod znakiem rozruchów, płonących samochodów i potężniejących w całej Europie ruchów protestu? Skąd biorą się fala wściekłości i agresja? Czego nie rozumieją rozgorzyczeni rzecznicy europejskiego ładu, których opowieść o pokoju, bezpieczeństwie, rządach prawa, rozwoju i dobrobycie buntownicy zbywają wzruszeniem ramion? Dlaczego UE cieszy się tak niskim zaufaniem w krajach, które odniosły spektakularny sukces polityczny i gospodarczy?[2] Dlaczego większość Europejczyków sądzi, że Unia upadnie w ciągu najbliższych dziesięciu lub dwudziestu lat[3], a co trzeci wierzy, że w perspektywie najbliższego dziesięciolecia pomiędzy krajami członkowskimi może wybuchnąć wojna[4]? Czy Unia w obecnej postaci przetrwałaby, gdyby referenda podobne do brytyjskiego rozpisać we wszystkich dwudziestu ośmiu państwach członkowskich[5]? Jednym słowem: dlaczego najważniejszy i być może najbardziej udany projekt polityczny powojennej Europy jest tak powszechnie kwestionowany? Czy olśnieni osiągnięciem wymarzonego celu, bierzemy w ogóle pod uwagę możliwość negatywnych skutków niezwykłych zdobyczy naszej doby? Czy posiadamy instrumenty pozwalające dostrzec problemy, jakie niesie blisko siedemdziesiąt pięć lat nieprzerwanej ciągłości?

## **1. Stabilność – nieznan problem**

Europejska historia to życie pod wulkanem, to ciągłość szatkowana kolejnymi eksplozjami politycznych wstrząsów i kataklizmów. Kampanie wojenne, najazdy, okupacje, rewolty, powstania, zamachy stanu, terror, przesiedlenia, migracje, załamania rynku, klęski nieurodzaju, głód, epidemie – wydarzenia wywracające do góry nogami życie ludzi i wspólnot – są doświadczeniami znaczącymi życie każdej niemal generacji Europejczyków. Od starożytności refleksja nad polityką (wyrastająca wprost z tego właśnie kontekstu) koncentruje się na metodach okiełznania wszechwładnego żywiołu politycznej i gospodarczej niestabilności. Zaprzatające polityków kwestie z dziedziny państwa, prawa, ekonomii czy bezpieczeństwa zawsze służyły tej właśnie sprawie: jak zredukować efemeryczność politycznych tworów, utrwalić pokój, w jaki sposób zapewnić najwyższą możliwą ciągłość? Polityczna tradycja, która rodzi się w cieniu ateńskich zwycięstw nad Persami i późniejszych klęsk w wojnach peloponeskich, nie miała powodu zmieniać agendy ustalonej przez Ajschylosa, Herodota, Peryklesa, Tukidydesa, Platona i Arystotelesa. Celem było wzięcie w karby przygodności, porządkowanie chaosu i pomniejszanie towarzyszącej mu nędzy, cierpień, lęku i niepewności – stworzenie warunków, które pozwolą zebrać plony, zbudować dom, rozwinąć produkcję i handel, wychować dzieci. Oto niezmiennie wyzwanie polityki. I choć konkretne wizje pożądanego ładu mogły się zmieniać, zawsze przecież chodziło o przesunięcie danego ludziom świata na osi między budzącym grozę mrokiem tego, co nieprzewidywalne i zmienne, a tym, co możliwie stabilne, a więc zarazem jasne, bezpieczne, potencjalnie dostatnie i sprawiedliwe. Jeśli polityka coś produkuje, to niewątpliwie stabilność byłaby jej podstawowym dziełem. Jeśli dokąś zmierza, to właśnie do pożądanego formy stabilności. Taka jest jej natura, DNA, odruch bezwarunkowy. Tak wyglądał cel, do którego próbowano się zbliżyć, ale który przecież zawsze wydawał się

nieosiągalny. Stabilność była jak wciąż uciekający horyzont, jak cel Syzyfa, który stale musi zaczynać od początku, by z mozołem piąć się w stronę niemożliwego do zdobycia wierzchołka.

*Czy może dziwić, że po epokach niedostatku padliśmy ofiarą pochopnej idealizacji upragnionej ciągłości i że z trudem przyjmujemy do wiadomości problemy, które pojawiają się w ustabilizowanych państwach?*

Granica dzieląca względny spokój od długotrwałej stabilności nie jest wyraźna. Trudno byłoby wyznaczyć linię, postawić szlaban. Może właśnie dlatego – choć o błogosławieństwie pokoju mówi się w

Europie tak często – nie zauważyliśmy, że od dłuższego czasu żyjemy po drugiej stronie horyzontu (a głąz od dawna stoi już na szczycie). Mówiąc nieco dokładniej: nie jest oczywiście tak, że nie dostrzegliśmy wyjątkowości naszej epoki. Przeciwnie, zauważyliśmy ją i chętnie się nią szczycimy. Przeoczyliśmy jednak to, że zmiany, które zaszły w trakcie siedmiu i pół dekady pokoju, mają charakter nie tylko ilościowy, ale fundamentalny; że żyjemy w rzeczywistości, której wszyscy chcieli doczekać, ale której nikt przed nami nie doświadczył, a już z pewnością nie opisał. Tak! Znaleźliśmy się na nieznanym lądzie, gdzie nie jest „tak samo, tylko lepiej”, ale inaczej, gdzie rzeczywistość, wolna wprawdzie od wielu dawnych problemów, przynosi nowe, stawiając nas wobec nieznanych dotąd pytań i zagrożeń. Powoli i nie bez zdziwienia odkrywamy, że rozwój nie jest jedyną zmienną trwałego porządku politycznego, bo ten – co stanowi dużą niespodziankę – ma swoją wewnętrzną dynamikę i wcale nieoczywistą przyszłość. Okazuje się, że

stabilność systemu polityczno-prawnego nie oznacza wcale braku zmian i pozbawionej konfliktów harmonii, no i, co gorsza, nie jest wcale wyposażona w samorzutne mechanizmy bezpieczeństwa.

Siedemdziesiąt pięć lat życia na stokach wygasłego wulkanu (jedno z niewątpliwie najpiękniejszych doświadczeń w historii Europy) kazało nam uwierzyć, że dzieje wreszcie osiągnęły swój kres. Upadek komunizmu wydawał się dowodem rozwiewającym ostatnie wątpliwości. Czy może dziwić, że po epokach niedostatku padliśmy ofiarą pochopnej idealizacji upragnionej ciągłości i że z trudem przyjmujemy do wiadomości problemy, które pojawiają się w ustabilizowanych państwach? Przeszkodą w ich rozwiązaniu (obok ciągle bardzo rozpowszechnionej niewiary w ich istnienie) wydaje się brak zarówno instrumentów poznawczych, jak i praktyki. Żyjąc we wspólnocie, która nie doświadczyła wojen i przewrotów, żyjemy wśród ludu, do którego sposobu myślenia, reakcji, obyczajów i aspiracji nie stosują się gromadzone przez stulecia doświadczenia. A nowych zagrożeń nie brakuje. Weźmy choćby zagadnienie bezpieczeństwa wspólnoty politycznej, która pokój i stabilność uważa za dany i niewymagający wysiłku fakt. A przecież to tylko jedna z wielu kwestii, które same w sobie stanowią wyzwanie dla dzisiejszej polityki i filozofii (czy stanowią, to już inna sprawa).

Interesuje mnie problematyczny charakter politycznej stabilizacji. Nie jest to sprawa prosta. Europejska historia nie dała zbyt wielu okazji, by stabilność rozważać jako wartość nieabsolutną, jako dobro wymagające relatywizacji w odniesieniu do innych istotnych celów polityki. Żeby zrozumieć, dlaczego struktury polityczne, gospodarcze i społeczne odbierane są jako dziedzictwo niemożliwe do zaakceptowania przez dynamicznie rosnącą liczbę Europejczyków, warto zadać sobie pytanie,

czy po ponad siedemdziesięciu latach pokoju sama stabilność nie stała się poważnym, choć niedostrzeganym problemem. Czy jednym z głównych wyzwań politycznych naszej doby nie jest właśnie trwałość istniejącego porządku, która obraca się przeciwko znacznej części wspólnoty politycznej, odbierając jej godność, wolność i nadzieję na lepszy los? Czy stabilność niepoddawana korektom nie staje się toksyczna i niehumanitarna?

## **2. Pragnienie rewolucji**

Choć przedstawiciele politycznego establishmentu (tak w USA, jak i w Europie) nadal próbują zaklinać rzeczywistość, to czasy, gdy tak zwani populiści stanowili margines zachodniej sceny politycznej, są już dawno za nami. Określane tym mianem partie sprawują dziś władzę w czterech krajach UE, a w wielu – w tym we Francji, Niemczech, Holandii czy Hiszpanii – należą do grona najważniejszych podmiotów publicznego forum (dyktując agendę, język i styl współczesnej polityki). Jeśli dodać do tego sytuację w USA i Brexit, to widać wyraźnie, że niepodobna dłużej mówić o czymś przejściowym czy nieistotnym.

Ruchy pogardliwie określane mianem populistycznych różni bardzo wiele: są wśród nich formacje lewicowe i prawicowe, wyraziście chrześcijańskie i zdeklarowanie laickie, anty- i promoskiewskie, konserwatywne i progresywistyczne. Czy poza odwzajemnioną niechęcią wobec dotychczasowych elit coś je ze sobą łączy? Nie mam na myśli programowych tez artykułowanych przez zasiadających w prezydiach liderów – te często stanowią funkcję lokalnych tradycji i politycznych okoliczności. Ciekawi mnie, czy różne nowe ruchy czerpią siły z tej samej euroatlantyckiej fali społecznych oczekiwań, a jeśli tak,

to jak określić zasadniczy powód ich siły i żywotności. Czy stawiane w wielu krajach kwestie wzrostu rozwarstwienia majątkowego i społecznego, rosnących podatków, pauperyzacji, niepewności zatrudnienia, bezrobocia wśród ludzi młodych oraz ściśle ze sobą powiązane sprawy bezpieczeństwa, polityki imigracyjnej, kryzysu strefy euro i niezgody na kierunek ewolucji UE (w tym zwłaszcza na polityczny i gospodarczy dyktat Brukseli/Berlina), a także, *last but not least*, utrata zaufania do elit politycznych, biznesowych i medialnych stanowią normalne problemy politycznej agendy demokratycznych państw, czy też kryje się za nimi coś znacznie ogólniejszego? Choć – jak zwykle w wypadku wielkich zjawisk społecznych – prosta odpowiedź nie jest możliwa, wiele wskazuje na to, że tym razem nie idzie o nowy głos szukający miejsca w spektrum ścierających się poglądów i interesów, ale o całkowitą negację utrwalonego po drugiej wojnie światowej status quo. Dla znaczącej części zwolenników partii protestu wymieniona wyżej lista jest nie tyle katalogiem spraw, które należy w zwykłym trybie rozwiązać, ile zestawem dowodów na niewydolność istniejącego modelu – argumentem za odrzuceniem go w całości. Negacja! Ona zdaje się coraz wyraźniej przesądzać o sile i tożsamości rewoltujących Europę ruchów. Ważnym źródłem ich dynamiki nie jest ani żądanie sanacji systemu, ani polityczne aspiracje nowych elit, ani nawet wizja zmian w systemach redystrybucji dochodów czy prestiżu, ale właśnie i przede wszystkim odrzucenie istniejącego stanu rzeczy. Nie twierdzą oczywiście, że dotyczy to wszystkich sympatyków nowych ruchów politycznych, ale nie mam wątpliwości, że mamy do czynienia ze zjawiskiem znaczącym i nadającym ton partiom protestu. Nie stłumią go ani represje, ani kosmetyczne zmiany. W tej grupie system odrzucany jest totalnie. Ludzie są rozczarowani, rozgoryczeni i wściekli. Nie chcą korekt ani ustępstw. Ich zaufanie się wyczerpało. Mają dość!

*Negacja! Ona zdaje się coraz wyraźniej przesądzać o sile i tożsamości rewoltujących Europę ruchów. Ważnym źródłem ich dynamiki nie jest ani żądanie sanacji systemu, ani polityczne aspiracje nowych elit, ani nawet wizja zmian w systemach redystrybucji dochodów czy prestiżu, ale przede wszystkim odrzucenie istniejącego stanu rzeczy*

Doskonały przykład stanowić może ruch żółtych kamizelek – niewątpliwie największa i najbardziej brutalna fala niepokojów społecznych, z jakimi Francja mierzy się od czasów wojny. Komentatorzy zachodzą w głowę, o co chodzi. Ruch, który eksplodował pod wpływem bodźca ekonomicznego,

okazuje się odporny na finansowe ustępstwa, które budżet Francji wyrzuciły poza orbitę trzyprocentowego deficytu. Zdumienie budzi niechęć do wyłonienia reprezentacji i struktur. Bunt, który wydawał się embrionalną formą nowej partii, odmawia wejścia w świat dorosłej polityki z niepojętym dla analityków uporem. Jeśli nie idzie ani o kooptację, ani o pieniądze, to w czym rzecz? W świecie ukształtowanym przez retorykę kontrkultury odpowiedź, że chodzi o antysystemowość, nie wydaje się przekonująca. Zgoda. Wszystko to jednak nie znaczy, że system polityczny nie istnieje, a prawdziwy bunt jest niemożliwy. Jest możliwy, i to bunt mający poparcie daleko wykraczające poza liczbę osób biorących bezpośredni udział w (nierzadko brutalnie tłumionych) ulicznych protestach[6].

O tym, że potrzeba wielkiej zmiany wisi w powietrzu, wiemy nie od dziś. Doskonale wiedzą to wyczuleni na społeczne nastroje specje od marketingu politycznego. Przynależność do elit, doświadczenie i tradycja nie są dziś w cenie. Partia powinna być zupełnie nowa, broń Boże bez balastu przeszłości, kandydat – kimś spoza układu, najlepiej w ogóle spoza polityki. Od czasów hasła *Change* z pierwszej kampanii prezydenckiej Baraka Obamy (2008) obietnicę decydującej zmiany składają politycy wszystkich stron, i to zupełnie niezależnie od rzeczywistych intencji. Kto wie, czy najlepszego dowodu siły i powszechności pragnienia wielkiego zwrotu nie stanowi to, jak chętnie obiecują go właśnie politycy spod znaku kontynuacji. Obama, Macron czy Mark Rutte doskonale rozumieją, że konserwacja istniejącego porządku nie nadaje się na wyborczy slogan. Czasy są takie, że program oferujący więcej tego samego należy reklamować jako przewrót na miarę Kopernika (zgodnie z radą jednego z bohaterów *Lamparta* Lampedusy: „trzeba wszystko zmienić, żeby wszystko zostało po staremu”).

Wyborcza retoryka to jednak zdecydowanie zbyt mało, by zaspokoić oczekiwania zrewoltowanego ludu. Z badań przeprowadzonych w końcu lutego 2019 roku przez IFOP (Institut d'études opinion et marketing en France et à l'international) dla L'Atlantico (w Austrii, Francji, Hiszpanii, Niemczech, Polsce, we Włoszech) wynika, że blisko 40 procent Francuzów, 20 procent Niemców i 14 procent Polaków uważa, iż jedyną drogą do poprawy sytuacji życiowej obywateli jest rewolucja. Tak, właśnie rewolucja! Nie mówimy o podejściu krytycznym czy niechęci wobec pewnych zjawisk, ale o odrzuceniu obecnego systemu i zgodzie, a nawet nadziei na jakiś wielki wstrząs, a być może również na towarzyszącą mu anarchię, rozpad i przemoc. Nie chodzi wszak o żadne, choćby niezwykle radykalne, reformy polityczne, o

gwałtowną dezaprobatę wobec jakiejś instytucji, partii czy polityka, a więc o postawę, którą można by przekuć w legalną formę politycznego sprzeciwu. Zakładając, że ankietowani wiedzą, czym jest krwawy, mroczny, irracjonalny paroksyzm, który kryje się za słowem „rewolucja”, musimy uznać, że co piąty Niemiec i czterech na dziesięciu Francuzów odrzuca nadzieję na cywilizowaną, bezkrwawą zmianę na lepsze, a za konieczny warunek poprawy uważa obalenie panującego ładu siłą. Oto – przyznać trzeba – zupełnie niespodziewana wykładnia Obamowej *Change!* Żeby mogło być lepiej, system musi upaść. Aby mógł upaść, niezbędny jest kataklizm, która wywróci świat do góry nogami. To nie jest pesymizm, to desperacja. Pragnienie rewolucji po lekcji, której w tej kwestii udzieliła Europie historia XX wieku, jest świadectwem najciemniejszej – by nie powiedzieć: samobójczej – beznadziei. Nawet przy założeniu, że dla części badanych rewolucja jest tylko metaforą jakiejś fundamentalnej zmiany, trudno wątpić, że to właśnie stabilność systemu (która wydawała i nadal wydaje się najcenniejszym osiągnięciem polityki) postrzegana jest jako główna przeszkoda w poprawie losu. Nie łudźmy się, że mówimy o garstce szaleńców. Choć grupa zwolenników rewolucji jest z pewnością mniejsza od grupy sympatyków partii protestu, jest jej częścią znaczącą. Dlaczego stracili nadzieję? Dlaczego nie wierzą w możliwość zmian innych niż rewolucyjne?

Odpowiedzi nie usłyszymy ani od przedstawicieli politycznych elit, ani od ich medialnego czy intelektualnego zaplecza. Zamknięci w swoich bańkach, bezradni wobec nowych zjawisk politycy, piarowcy i apologeci nie próbują już nawet niczego zrozumieć. Padli ofiarą własnej retoryki. Snują spiskowe teorie pełne demonicznych analityków, groźnych algorytmów, trolli, agentów i przebiegłych populistów, którzy omamili ciemny, niewdzięczny i prymitywny lud. Etykietują, wykluczają, poniżają, żeby potem na przemian pocieszać się i trwożyć

wymyślonymi przez siebie potworami. Podekscytowani odkryciem kolejnych analogii pomiędzy populizmem a najbardziej zbrodniczymi zjawiskami przeszłości (Stalin, Hitler, a u nas Bierut, Gomułka itd.), tracą kontakt z rzeczywistością – bo etykiety zasłaniają, zamiast rozjaśniać. „Faszyści”, „bolszewicy”, „nacjonaliści”, „skrajna prawica”, „islamofobi”, „nieudacznicy”, „ofiary manipulacji i kompleksów” czy, jak ujął to nieoceniony Adam Michnik, po prostu „gówniarze”, to nieomal cały dorobek pogłębionej refleksji nad naturą obecnego kryzysu. Niestety, ten pojęciowy prozac, wszystkie te pozostałości niedziałającego już systemu zarządzania emocjami skutecznie pozbawiają zdolności rozumienia świata – by nie wspomnieć już o możliwości prowadzenia jakiegokolwiek politycznej gry. Nawet jeśli autoterapeutyczne inwektywy pokrzepiają strwożonych, to przecież deformują rzeczywistość, podsycają konflikt i co najgorsze – odbierają zdolność racjonalnych, proporcjonalnych do okoliczności reakcji na zaostrzający się kryzys. Zafałszowana diagnoza przyczyn buntu podpowiada nietrafne rozwiązania. Jak przekonał się niedawno prezydent Macron, „gówniarzom” nie chodzi ani o zaszczyt dialogu, ani o podniesienie kieszonkowego. Już nie!

### **3. Indianie**

Na szczęście sztuka rozumie czasem coś, czego nie rozumieją eksperci i analitycy. Sądząc po ogromnym zaangażowaniu przemysłu filmowego w walkę z wrogami status quo, aż trudno uwierzyć, że jeszcze do niedawna bardzo ciekawą diagnozę obecnego kryzysu można było znaleźć w kinie. I to amerykańskim. Za przykład posłużyć mogą dwa tylko na pozór zupełnie różne filmy. Pierwszy to mroczny *Aż do piekła* (*Hell or High Water*) z 2016 roku, rodzaj neowesternu z elementami filmu kryminalnego zrealizowany na podstawie fenomenalnego

scenariusza Taylora Sheridan (z godnymi odnotowania rolami Jeffa Bridgesa, Chrisa Pine'a i Bena Fostera). Drugi, zaledwie rok młodszy *W starym, dobrym stylu (Going in Style)*, to pocziwa, nieomal rodzina komedia (z trzem jasno świecących gwiazd: Morganem Freemanem, Michaeliem Caine'em i Alanem Arkinem w rolach głównych). Choć nakręcone w zupełnie różnych konwencjach, opowiadają o tym samym: rzeczywistość stała się nie do zniesienia ze względu już nie tylko na biedę i brak perspektyw, ale na panoszącą się niesprawiedliwość, która w majestacie prawa i przy pełnej aprobacie organów państwa pozbawia ludzi możliwości skromnego nawet życia. Może dotąd nie było zbyt dobrze, ale można było wytrzymać. Nastąpiła jednak zmiana na gorsze. Uruchomiono mechanizmy, które spychają w pustkę. Przyczyną zła nie jest mafia czy skorumpowani urzędnicy, a więc coś, co psuje dobry w istocie świat, ale sama logika porządku, który potężnych i bezwzględnych czyni doskonale bezkarnymi, a zwykłych obywateli sprowadza do roli tępionych przez kolonizatorów Indian. To, co sprawiedliwe, wzięło rozwód z tym, co legalne.

W *Aż do piekła* dwaj bracia obrabowują oddziały banku, który dzięki pożyczce (odwróconej hipotece) udzielonej im na leczenie umierającej matki może za bezcen przejąć ich rodzinną farmę. Oglądamy Amerykę, w której nie ma eleganckich domów z basenami, gdzie na rautach zbiera się wytworne towarzystwo z filmów Woody'ego Allena. Tu domy wyglądają jak rozpadające się baraki. Jest brudno, brzydko, biednie i beznadziejnie. Nikt nie chodzi do psychoanalityka, choć niewątpliwie wszyscy mają ciężką depresję. Biedę otrzymali w spadku i w spadku przekażą ją swoim dzieciom. Brak pracy, wykształcenia, kapitału, perspektyw. W zapyziałych miasteczkach, gdzie hula wiatr, można pójść do jednej jedynej restauracji, która serwuje jedno jedyne danie. To ich los. Nie mają wyboru. Za to wszędzie wzdłuż dróg stoją bilbordy reklamujące łatwe i szybkie pożyczki (nadzieja występuje wyłącznie w

*Powszechność toposu  
bankstera mówi coś bardzo  
ważnego o rzeczywistości  
politycznej zachodniego  
świata. To coś, czego nie  
powinniśmy przeoczyć. Warto  
zastanowić się, dlaczego gdy  
mowa o trwałym, by tak rzec:  
systemowym rozdźwięku  
między prawem a  
sprawiedliwością, symbolem  
triumfującej  
niesprawiedliwości są banki*

roli przynęty dla  
desperatów i  
głupców).  
Bohaterami nie  
powoduje kaprys,  
fantazja ani żądza  
łatwego zarobku,  
lecz rozpacz i odruch  
samoobrony. Dzięki  
pieniądzom  
uzyskanym z  
rabunku bracia chcą  
spłacić dług, ale  
napady pozwalają im  
też wyrzucić  
symboliczną zemstę  
– czy może lepiej  
powiedzieć:

wymierzyć sprawiedliwość. Nie chodzi bowiem tylko o to, że w zepsutej do gruntu rzeczywistości przestępstwo okazuje się jedyną możliwą metodą, aby przetrwać. Rzeczywistość jest tak zepsuta, że walka o sprawiedliwość musi być walką z prawem, stróżami porządku, legalnymi instytucjami i całym chroniącym je państwem. Powie ktoś: cóż nadzwyczajnego? Przecież to Janosik i Robin Hood w jednym! Otóż nadzwyczajne wydaje się, że mowa nie o czasach Ryszarda Lwie Serce, ale o współczesnej Ameryce. Ameryce Baracka Obamy!

Jak na dłoni widać tu problem osamotnienia nikomu niepotrzebnych biednych białych Amerykanów. Ludzie widzący się w roli prześladowanych Indian to ludzie, o których nikt nie dba i których nikt nie reprezentuje. Nie istnieją. Są spisani na straty. Z pełną

świadomością, że każdy wybór jest zły (*Hell or High Water*), mogą wejść na wojenną ścieżkę lub zginąć bez walki. Film ten – choć to oczywiście tylko film – mówi więcej o przyczynach zwycięstwa Donalda Trumpa niż dziesiątki artykułów z „Guardiana”. Jeśli ufać zawartej w nim diagnozie, chodziło właśnie o „Zmianę”! Tę samą, którą obiecywał Obama, tylko braną serio. Czy dotyczy to tylko mieszkańców amerykańskiego „pasma rdzy”? Warto zadać sobie pytanie, dlaczego Francuzi zakładają żółte kamizelki. Czy nie dlatego, żeby dostrzeżono ich istnienie i problemy? No i dla bezpieczeństwa (żeby ich nikt nie przejechał).

W uroczym *W starym, dobrym stylu* trzej emerytowani pracownicy likwidowanej firmy chcą odzyskać równowartość emerytur, które przepadły, gdy bank pochłoniął fundusz emerytalny ich ekspracodawcy. Również oni napadną na bank. Konwencja ciepłej komedii wyklucza epatowanie nędzą, ale przecież ani przez chwilę nie mamy wątpliwości, że ofiarami są ludzie z samego dołu drabiny społecznej. Nie marzą im się jachty wilków z Wall Street, ale kawa w przydrożnym barze. Dla siebie wezmą z łupu dokładnie tyle, ile się należy, a pozostałymi pieniędzmi obdzielą podobnych do siebie biedaków. Również tu mamy napad, w którym odwrócono role. Prawdziwymi bandytami są bankierzy, nie zaś poczcwi obrabowani przez bank rabusie. I również tu mamy do czynienia z państwem niesprawiedliwym, z niesprawiedliwością zalegalizowaną i systemową. Zło to nie peckinpahowska dzika banda, którą trzeba pokonać, by wróciła zaburzona harmonia. Zły jest porządek, który legalizuje wołającą o pomstę do nieba krzywdę wyrządzaną słabym, bezradnymi poniżonym. W prawdziwym życiu – mówią scenarzyści obu filmów – to nie ludzie napadają na banki, ale banki na ludzi. Co godne odnotowania, zakłada się, że sprawę wystarczy zasygnalizować, nie wymaga ona szczegółowych wyjaśnień. Powszechność toposu bankstera mówi coś

bardzo ważnego o rzeczywistości politycznej zachodniego świata. To coś, czego nie powinniśmy przeoczyć. Warto zastanowić się, dlaczego gdy mowa o trwałym, by tak rzec: systemowym rozdźwięku między prawem a sprawiedliwością, symbolem triumfującej niesprawiedliwości są właśnie banki.

#### **4. Bankster jako symbol zła**

W Polsce zdecydowanie nie doceniamy doświadczenia kryzysu z 2007 i 2008 roku, który nie oznaczał wprawdzie kataklizmu wywracającego system do góry nogami, niemniej był silnym uderzeniem w niezbędne do sprawnego działania pokłady zaufania i nadziei. Inaczej niż Polsce, na zachodzie Europy i w Stanach pamięć tego doświadczenia jest nadal bardzo żywa. To moment, kiedy sen się wyśnił, gdy coś się ostatecznie skończyło. Dobrze widać to również w kulturze masowej, gdzie świat wielkich finansów ostatecznie utracił swój uwodzicielski blask. *Wall Street* (1987) z cynicznym, ale przecież pociągającym swoim hedonistycznym rozmachem Gordonem Gekko (Michaelem Douglasem) jest już czymś nie do pomyślenia. Dzisiejszy obraz branży finansowej widać doskonale w fenomenalnej *Chciwości* (2011), *Wilku z Wall Street* (2013) czy bardzo instruktywnym filmie *Big Short* (2015). To obraz odrażający.

Można odnieść wrażenie, że kryzys zachwiał samymi podstawami liberalnej czy raczej neo-liberalnej wiary współczesnego Zachodu. Chodzi o aksjomat nieskończonego rozwoju, o dogmat stałego wzrostu dobrobytu. Kryzys uderzył w system oparty na zakładzie, że jutro będzie lepiej. Upadek dotyczy nie tylko (i nie tyle) giełdy czy rynku nieruchomości, ale samego rdzenia optymistycznej metafizyki

zachodniego świata – płynącego zeń pocieszenia, poczucia sensu i nadziei na lepsze jutro. Sprawa jest poważna. Chodzi wszak o wiarę, która uzasadniała oczywistą brutalność istniejącego modelu. Ona wyjaśniała sens spekulacyjnych fortun, ona spajała „teodycę” usprawiedliwiającą konieczność ofiar, ale również ona dawała widoki na lepsze jutro tym wszystkim, którym wiodło się gorzej od giełdowych wilków (nie wyłączając tych, którym wiodło się bardzo źle). Dlaczego wiara umarła? Otóż kryzys nie wyrócił systemu, ale uderzył w najmniejszych i najsłabszych. W grze o sumie dodatniej biedni mieli dostawać mniej, ale jednak zawsze nieco więcej niż wczoraj. W grze o sumie ujemnej okazało się, że to oni muszą wziąć na siebie ciężar porażki. Stabilność stała się ważniejsza od solidarności. W imię stabilności państwo uratowało ciągłość instytucji, które odpowiadały za szaleństwo rynku kredytów hipotecznych wysokiego ryzyka (*subprime*), a wraz z nią uratowało najzamożniejszych. Bogaci wyszli z kryzysu bez szwanku, a biedni stali się jeszcze biedniejsi. A jak wyszła z tego wspólnota? Jeśli zaufanie do niej mierzyć nadzieją na poprawę losu, i to nie w perspektywie jutra, ale pokolenia, to jest bardzo źle. Wiele wskazuje na to, że stabilność przetrwała kosztem nadziei. Według badań Pew Research Center (z 19 marca 2019 roku) w najważniejszych krajach Unii króluje pesymizm: 52 procent Niemców, 70 procent Brytyjczyków, 80 procent Francuzów (sic!), 61 procent Włochów i 72 procent Hiszpanów uważa, że sytuacja finansowa następnego pokolenia będzie gorsza od sytuacji ich rodziców. Kryzys nadziei stanowiącej główne spoiwo systemu jest oczywisty [7]. Niestety, innego spoiwa nie widać.

Oczywiście topos bankstera nie narodził się w 2008 roku. Czerpie z krytyki lichwy mogącej poszczycić się tradycją równie starą jak pieniądz – tradycji bardzo silnie zakorzenionej w judeochrześcijańskiej kulturze Zachodu. Asymetria informacyjna i wynikająca z finansowej

*Bogaci wyszli z kryzysu bez szwanku, a biedni stali się jeszcze biedniejsi. A jak wyszła z tego wspólnota? Jeśli zaufanie do niej mierzyć nadzieją na poprawę losu, i to nie w perspektywie jutra, ale pokolenia, to jest bardzo źle. Wiele wskazuje na to, że stabilność przetrwała kosztem nadziei*

potęgi faktyczna  
nierówność wobec  
prawa  
pożyczkodawców i  
zwykłych obywateli  
od zawsze czynią  
tych pierwszych  
oczywistymi  
adresatami  
podejrzeń o  
możliwość działań  
niesprawiedliwych,  
choć zgodnych z  
prawem.

Szekspirowski  
pomysł pożyczki,

której zastaw stanowi funt ciała dłużnika, doskonale wyjaśnia, dlaczego ani sama legalność, ani nawet (pochojna lub pozorna, bo wymuszona przez okoliczności) dobrowolność umowy nie wyczerpują warunków, które pozwalałyby mówić o uczciwym kontrakcie. Funt ciała, który wenecki kupiec Antonio winien będzie podłemu Shylockowi, to symbol każdej, nie tylko lichwiarskiej, umowy kredytowej, której spłata przekracza możliwości dłużnika, wtrącając go w tarapaty, biedę, a nawet śmierć. Funt ciała wydrzeć ma odwrócona hipoteka z *Aż do piekła*: obrzydliwy mechanizm odzyskiwania za bezcen nieruchomości od ludzi znajdujących się w sytuacji przymusu. Funt ciała płacić mają Bogu ducha winni bohaterowie *W starym, dobrym stylu*, których emerytury bank przejmuje w poczet zobowiązań ich byłego pracodawcy. We wszystkich tych przypadkach bankierzy okazują się symbolami systemu nie tylko ze względu na to, że są bogaci i działają w imieniu bogatych, ale przede wszystkim dlatego, że symbolizują nierówności nieusuwalne i – by tak rzec – strukturalne. I nie idzie tylko

o mierzone przez ekonomistów różnice dochodu i majątku, ale o trwałe i dziedziczne nierówności w wykształceniu, pozycji społecznej, dostępie do rozmaitych dóbr i usług, o faktyczną nierówność wobec prawa i wreszcie o brak politycznej reprezentacji, a więc doświadczaną przez część wspólnoty sytuację bycia przedmiotem polityki (współczesnym Indianinem) i bezradną ofiarą niesprawiedliwego prawa. Ciekawe, że w obu filmach banki odgrywają rolę instytucji utrwalającej i pogłębiającej nierówności. Kredyty nie pomagają wyrwać się z biedy, lecz popychają w większą. Ja wiem, że jest to obraz nazbyt czarny, ale nie zajmujemy się tu oddawaniem sprawiedliwości instytucjom finansowym, tylko rekonstrukcją stereotypu i stojącego za nim stanu ducha. A tu banki symbolizują rzeczywistość, którą trzeba odrzucić w całości, strukturę, która stabilizuje i wzmacnia podział na beneficjentów i ofiary, stanowiąc ważny mechanizm spirali ubóstwa. Właśnie o tym – *explicite* – w końcowych monologach mówią bohaterowie *Aż do piekła* i *Chciwości* – pierwszy w imieniu nędzarzy, drugi wielkiej finansjery; pierwszy o przekazywanej z pokolenia na pokolenie biedzie, z której wyrwać się niepodobna, drugi o odwiecznym podziale na bogatych i biednych, który wszelkie moralne skrupuły oddala jako sentymentalizm i brak realizmu [8] .

Czy muszę mówić, że podobne opinie można usłyszeć również poza kinem? Żółte kamizelki, chcąc boleśnie uderzyć w znienawidzoną Francję Emmanuela Macrona (skądinąd byłego bankowca), proponują organizację tak zwanego *bank run*. Abstrahując od możliwej skuteczności podobnej akcji, która w dobie banków centralnych nie ma wielkich widoków powodzenia, warto odnotować dwa oczywiste założenia, którymi kierują się rebelianci. Pierwsze zaspokaja potrzeby symboliczne: chodzi wszak o sztych w samo serce zła, szturm na znienawidzony symbol władzy, na rodzaj współczesnej Bastylli; drugie jest pragmatyczne (a z perspektywy rewolucyjnych celów niewątpliwie

racjonalne), wynika z przekonania, że skuteczny cios w banki rozbije cały system polityczny w drobny mak. Bo nie o banki tu idzie, a w każdym razie nie tylko.

## **5. Stabilność kontra demokracja**

Mówiliśmy już, że uwaga skoncentrowana na ochronie stabilności utrudnia dostrzeżenie negatywnych skutków kontynuacji. Co nam umyka? Otóż problem w tym, że w warunkach długotrwałego pokoju demokratyczne państwa prawa produkują konflikt, którym na dłuższą metę nie są zdolne zarządzać. Konflikt rozgrywa się między konserwowanym przez prawo i politykę status quo, a upowszechnianą przez polityczną kulturę demokracji intuicją sprawiedliwości, która oparta jest w głównej mierze na zasadzie egalitarnej i wolnościowej. Z jednej strony polityka skutecznie stabilizuje więc struktury prawne i gospodarcze, utrwalając zarazem dziedziczne różnice majątku, dochodu, pozycji społecznej, wykształcenia czy udziału we władzy, z drugiej strony zaś – poprzez edukację i demokratyczny etos wzmacnia potrzebę wolności, politycznej podmiotowości i równości pojmowanej nie tylko jako równość wobec prawa czy nawet równość szans, ale jako polityczną sprawczość, której istotnym wymiarem jest możliwość wyboru i kontroli każdej formy władzy.

W istocie mamy tu do czynienia z napięciem między sprawiedliwością a wolnością opisywanym przez Platona jako właściwe demokracjom. W napięcie to powojenny pokój włączył element trzeci, mianowicie czas. I właśnie czas, a dokładniej długotrwała stabilność, zamienia je w konflikt. W sytuacji opisywanej przez Platona odpowiedni balans między arystokratycznym ze swej natury pierwiastkiem

sprawiedliwości a ludowym żywiołem wolności chronił demokrację przed anarchią i wzmacniał porządek, ale nie unieważniał centralnych wartości ludowładztwa, a więc wolności i równości. Nakładając kaganiec na niebezpieczną dla ładu państwa kapryśną zmienność ludu, prawo ratowało demokrację przed zawartym w niej potencjałem autodestrukcji (na przykład przed oddaniem władzy tyranowi czy ochłokracją). Oparty na tym modelu powojenny ustrój demokratycznych państw prawa nieoczekiwanie destabilizuje fakt, iż długoletnie trwanie przechyla proporcję sił na korzyść pierwiastka arystokratycznego. Po siedemdziesięciu latach pokoju struktury utrzymujące stabilność konserwują mechanizmy dziedziczenia różnic i podziałów w stopniu, który w praktyce unieważnia, a co najmniej ogranicza egalitarystyczne założenia coraz mniej demokratycznych państw prawa. Za sprawą czasu – zmiennej, która wydawała się nieistotna – demokratyczny składnik arystokratyczno-demokratycznego ustroju mieszanego okazuje się fikcją. Kolejne pokolenie nie ma szansy, by wszyscy jego przedstawiciele wystartowali z podobnych pozycji, a równość i wolność (zwłaszcza wolność pozytywna) stają się pustymi pojęciami.

Mimo że koncentracja kapitału – jak twierdzi Thomas Piketty – nie jest dziś większa niż na przełomie XIX i XX wieku, za sprawą demokratycznej kultury równości odczuwany rozdział między egalitarnym ideałem a arystokratyczną logiką rzeczywistości jest dramatyczny. Życie w realiach oligarchiczno-plutokratycznych boleśnie kontrastuje z deklarowanymi ideałami ustrojowymi i hiperdemokratyczną retoryką obecną w sferze edukacji i kulturze. Polityka, która reprodukuje ciągłość, wzmacniając zarazem egalitarne ideały demokratycznej kultury, z całą mocą stawia kwestię niesprawiedliwości panującego porządku. Paradoks polega na tym, że to siebie samą sadza na ławie oskarżonych. Tu właśnie, jak sądzę, ma

*Upadek mitu nieskończonego wzrostu, podobnie jak stabilizujące interwencje polityki, potwierdził wrażenie radykalnej oligarchizacji systemu i co za tym idzie – absolutnej nieomal trwałości przydzielonych w nim ról. Z jednej strony zatem mamy dane o rosnących nierównościach i niespotykanym od pokoleń poziomie koncentracji kapitału, z drugiej – badania potwierdzające przeświadczenie, że po raz pierwszy w powojennej historii pokolenie wchodzące w życie będzie wyraźnie biedniejsze od swoich rodziców*

swoje źródła napięcie między prawem a podzielaną powszechnie intuicją sprawiedliwości; tu rodzi się bunt, którego nie mogą już ugasić niewielkie korekty istniejącego modelu. Łatwo zrozumieć, dlaczego właśnie kryzys gospodarczy mógł być iskrą detonującą konflikt. Upadek mitu nieskończonego wzrostu, podobnie jak stabilizujące interwencje polityki, potwierdził wrażenie radykalnej oligarchizacji systemu i co za tym idzie – absolutnej nieomal trwałości przydzielonych w

nim ról. Z jednej strony zatem mamy dane o rosnących nierównościach i niespotykanym od pokoleń poziomie koncentracji kapitału, z drugiej – badania potwierdzające przeświadczenie, że po raz pierwszy w powojennej historii pokolenie wchodzące w życie będzie wyraźnie biedniejsze od swoich rodziców [9]. Liberalny mit samorzutnej

redystrybucji skoncentrowanego kapitału okazał się bajką dla ubogich. Planowany wzrost zastąpi zjazd. Kryzys wymagałby elastyczności – tymczasem system skostniał i, co gorsza, ogłuchł. Grająca na Titanicu orkiestra tłumi krzyki tonących, a gdy się mimo wszystko przebijają, brane są za dowód niewdzięczności, głupoty i gorszącej roszczeniowości (czy „populizm” nie byłby właściwym słowem?).

Wydaje mi się, że to, co stanowi główne paliwo politycznego buntu, określić można jako pragnienie resetu. Chodzi o odwrócenie efektów długotrwałej stabilności, o powrót do (mitycznego w dużym stopniu) punktu wyjścia, w którym istniejące podziały i różnice nie przekraczają granic unieważniających egalitarne założenia demokracji. Z punktu widzenia buntowników kryzys wyraża się w intensywnie przeżywanym deficycie podmiotowości, w sensie systemowym zaś – w deficycie demokratycznej legitymizacji status quo. Badania potwierdzają rosnące zniechęcenie stanem demokracji. Według Pew Research Center niezadowolenie ze sposobu, w jaki działa demokracja w ich kraju, wyraża znacząca część mieszkańców największych krajów UE (43 procent Niemców, 55 procent Brytyjczyków, 51 procent Francuzów, 70 procent Włochów, 81 procent Hiszpanów) [10]. Napięcie jest ogromne. Rewolucjonistom nie chodzi o osobną ani o banki, ani o imigrantów, ani o koszty oleju napędowego, ale chcą właśnie kasującego utrwalone różnice resetu porządku politycznego i społecznego, porządku, który jednych skazuje na trwałą, dziedziczną drugorzędność, innych zaś, niezależnie od ich talentów i zasług, z mocy urodzenia, czyni członkami niezatapialnej elity. To właśnie stabilność odziera z podmiotowości, odbiera wrażenie sprawczości, pozbawia nadziei i niszczy poczucie kontroli nad własnym życiem i losami wspólnoty. Bardzo przenikliwie oddaje to film *Brexit. Dzika wojna (Brexit. Uncivil war)*, który z kombinacji politycznego osierocenia, ekonomicznej

mizierii, pragnienia odzyskania wpływu na rzeczywistość i właśnie nadziei na reset politycznego systemu czyni zasadniczy motyw skłaniający Brytyjczyków do głosowania za opuszczeniem UE11 .

Właściwym przedmiotem agresji jest zatem system polityczny, który odbiera szansę wejścia w życie bez obciążenia odziedziczonym po poprzednich pokoleniach kredytem. Mówię tu oczywiście o kredycie nie tylko w ekonomiczno-bankowym, ale również społecznym, politycznym i kulturowym sensie tego słowa, o długu, którego się nie zaciągnęło, ale który trzeba będzie spłacać przez całe życie, żeby potem przekazać go własnym dzieciom i wnukom. W tym sensie pierwszym celem rewolucji byłoby strząśnięcie tych rozmaitych szeroko rozumianych obciążeń, zobowiązań i podległości. Problem w tym, że stabilność konserwuje nie tylko biedę, ale również przywileje elit. Nadzieje odzyskania równości i politycznej podmiotowości nie spełnią się bez resetu dotyczącego wszystkich stron, w tym dziedzicznych w istocie ośrodków władzy (w obszarze polityki, ekonomii, mediów, spraw społecznych i kultury). I to byłby drugi warunek powodzenia.

Sprawa jest więc w ścisłym tego słowa znaczeniu polityczna. Chodzi o władzę, a dokładnie o odzyskanie władzy nad rzeczywistością, która w znacznym stopniu wymknęła się spod demokratycznej kontroli. Znakomicie potrzebę tę chwytają wykorzystywane przez zwolenników *leave* hasło „odzyskania kontroli” („Take back control”). Chodzi o kontrolę nad formalnymi oraz – co wydaje się szczególnie ważne – nieformalnymi ośrodkami władzy, które działają już nie tylko poza mechanizmami demokracji, ale poza kontrolą państw i organizacji międzynarodowych. Niestety pragnienie, by zacząć od początku, bez odziedziczonych ról i zobowiązań, nie wydaje się możliwe do spełnienia.

Pozostawiam na boku to, że z pewnością nie prowadzi do niego rewolucja. Nie chodzi mi również o niereczywistość mitu doskonale równego startu (czy lud kiedykolwiek podobną kontrolę posiadał?!). Rzecz w tym, że nawet pragnienia ograniczonej formy resetu istniejący system polityczny nie może zaspokoić. Dlaczego? Otóż dlatego, że władza demokratycznej polityki z mocy liberalnych założeń nie rozciąga się na obszar, gdzie nierówności są szczególnie dotkliwe, a więc na obszar tego, co społeczne i gospodarcze. Polityka może te nierówności konserwować, ale nie może ich zmieniać, a już z pewnością nie jest zdolna ich resetować. Polityczne instrumenty, które lud mógłby zdobyć na drodze wyborów nie są więc w mocy wpływać na nieformalne struktury władzy. Czy nie tu właśnie tkwi źródło pragnienia rewolucji, której ogień przepalić może dzisiejszy świat?

## **6. Dlaczego nie można odzyskać kontroli?**

Wielką zaletą przedwyborczych miraży (mam na myśli te spod znaku jakiejś wielkiej „Zmiany”) jest to, że odkrywają skalę społecznej frustracji, artykułując zarazem nieobecne w oficjalnym dyskursie potrzeby, obawy i nadzieje. To dużo. Jeśli pamiętać, że mówimy o oczekiwaniach ludzi niewidzialnych (niereprezentowanych i ignorowanych), to kampanie pełnią funkcję, w której zawiodła nie tylko polityka, ale nawet basująca elitom socjologia. Drugą istotną – i równie niedocenianą – zaletą składanych w kampaniach wielkich obietnic jest precyzyjny obraz ograniczeń obowiązującego porządku politycznego. Dopiero tło, które stanowią przedwyborcze obietnice fundamentalnych zmian w sferze polityki, spraw społecznych, ekonomii, mediów,

konstrukcji elit czy nawet – jak to się dzieje w Polsce – aksjologii i pamięci, pokazuje, jak skromny jest w istocie zakres tego, co w ramach legalnych procedur może zmienić współczesna polityka.

Teoretycznie funkcję bezkrwawego resetu spełniać powinny wybory. Oto ów – jak słyszeliśmy po wielokroć – genialny wynalazek rewolucji bez rewolucji; oto unikalna metoda zmiany władzy, kierunku, programu, a nawet elit, dokonującej się bez przelania choćby kropli krwi; oto doskonały kompromis ciągłości z nieciągłością, udany splot trwałości z szansą na nowy początek. Sądząc po towarzyszących wyborom namiętnościach, zwłaszcza zaś składanych i przyjmowanych za dobrą monetę obietnicach, nadal tego się właśnie po nich oczekuje. Czy nie na wyrost? Czy oczekiwania te mogą zostać spełnione? To pytania retoryczne. Z uwagi na rozmach i charakter kampanijnych deklaracji z pewnością nie mogą! I nie chodzi wcale o złą wolę czy lenistwo polityków. Idzie o to, że z perspektywy istniejącego systemu są to oczekiwania nieomal w całości leżące poza kompetencjami dzisiejszej polityki, z jednej strony silnie ograniczonej przez pierwiastek prawno-arystokratyczny, z drugiej zaś – zgodnie z liberalnym ideałem – zredukowanej do stosunkowo niewielkiego pola tego, co państwowe, a więc polityki, która świadomie wycofała się z wielu obszarów gospodarki, spraw społecznych, aksjologii czy kultury.

Co resetują wybory? W istocie bardzo niewiele. Naturą stworzonego po wojnie arystokratyczno-demokratycznego ustroju jest pozostawienie bardzo wielu zasadniczych dla państwa instytucji poza rzeczywistą kontrolą demokracji. Obawa przed recydywą wydarzeń, które Republikę Weimarską popchnęły w ramiona Hitlera, kazała obudować wolność ludu systemem zabezpieczeń, które – co nieuchronne – radykalnie osłabiają jego polityczną podmiotowość.

Doskonale ilustruje to Kelsenowska idea sądów konstytucyjnych, które przed wojną funkcjonowały tylko w dwu państwach Europy, a dziś stanowią instytucjonalny bezpiecznik większości demokratycznych państw prawa na Starym Kontynencie. Czy są to instytucje służące demokracji? Z pewnością mogą i powinny jej służyć, ale jest to służba strażnika chroniącego demokrację przed nią samą – przed nadużyciem wolności, pokusą tyranii, bezprawiem i autoagresją. Czy są to instytucje demokratyczne? W bardzo ograniczonym stopniu. Bez zachowania jak najwyższej niezależności od kapryśnej woli zmiennego w sympatiach ludu idea kontroli wolności przez sprawiedliwość nie miałaby szans realizacji. Nie przez przypadek mamy tu wiele zabezpieczeń, które znacznie ograniczają władztwo ludu. Kwalifikowana większość jako warunek dokonywania zmian w ustawie zasadniczej, rekrutowanie sędziów nieomal wyłącznie z grona profesorsko-prawniczych korporacji, wybory w znacznym stopniu pozostające poza kontrolą ludu i egzekutywy, za to z silnym udziałem środowiska sędziowskiego, gwarancje instytucji ponadnarodowych – to tylko pierwsze z brzegu przykłady, jak niewielki jest zakres możliwego resetu w obszarze jednej z trzech najważniejszych władz w państwie. A mowa przecież o władzy niezwykle potężnej, która w kategoriach Monteskiuszowego trójpodziału dawno przestała być wyłącznie władzą sądowniczą, lecz dzięki powszechnie dziś aprobowanej praktyce bardzo daleko idącej interpretacji prawa stała się de facto sądowniczą i ustawodawczą zarazem.

Wbrew pozorom w odniesieniu od egzekutywy i władzy ustawodawczej sprawa wygląda podobnie. Rzeczywisty wpływ aktu wyborczego na skład, kształt i program tych władz jest niezwykle ograniczony. Mechanizmy tworzenia list wyborczych, których kształtowanie pozostaje wyłączną i na ogół wybitnie nietransparentną prerogatywą

*Liczy dostarczane przez badania przekonują, że kryzys podstawowego dla demokracji poczucia sprawczości jest faktem. Zdecydowana większość obywateli największych krajów Europy jest zdania, że wybory są pozbawionym istotnego znaczenia rytuałem (niezależnie od tego, kto wygrywa, i tak zmienia się niewiele). Biorąc pod uwagę te dane, łatwo zrozumieć, skąd bierze się poczucie beznadziejności i frustracja*

partii politycznych, tak zwany wolny (nie zaś imperatywny) mandat wybranych przedstawicieli, zasady powoływania władz wykonawczych, skala i polityczne wpływy służby cywilnej, rola ekspertów i urzędników powoływanych spoza świata demokratycznej polityki, relacje między władzami partii a konstytucyjnymi organami państwa i wreszcie faktyczna nieusuwalność z

grona elit politycznych to tylko niektóre z wielu możliwych do przywołania przykładów iluzoryczności władzy formalnego suwerena. Do tego dochodzą jeszcze rozmaite ograniczenia wynikające z przynależności do UE. Problem, jaki w tej sferze stanowią – jak się to eufemistycznie ujmuje – deficyty demokracji, nie jest oczywiście sprawą nową. Choć jednak mówiono o tym od dawna, nigdy dotąd nie była to kwestia tak istotna dla tak znacznej grupy Europejczyków jak dziś. Co ciekawe i na pierwszy rzut oka paradoksalne, poczucie utraty wpływu na UE okazuje się szczególnie wysokie właśnie w największych krajach Unii (wyjątek stanowią Niemcy i Polska) [12]. Trudno nie łączyć

tego z sukcesami partii protestu. I nie jest to kwestia ich zaczepnej retoryki, ale zupełnie oczywistych i dobrze opisanych mankamentów, które skutkują pogłębiającym się wrażeniem utraty demokratycznej kontroli nad najistotniejszymi sprawami własnego forum. Cóż boleśniej przypomina o utracie wpływu na sprawy własnej wspólnoty politycznej od niejasnego mandatu instytucji, które w ramach logiki sfery euro decydują o polityce fiskalnej własnego kraju? Nie jest to problem ani czysto teoretyczny, ani błahy. Każdemu, kto byłby skłonny go bagatelizować, warto przypomnieć, że jedno z najważniejszych haseł amerykańskiej rewolucji brzmiało „No taxation without representation”. A przecież sprawa nie dotyczy tylko podatków i dopuszczalnego deficytu, ale porządku prawnego, polityki międzynarodowej, spraw bezpieczeństwa, migracji czy – co ostatnio narasta z ogromną siłą – prób ingerencji w sferę aksjologii i tradycji [13].

Jednak nie wchodząc nawet na pułap międzynarodowych umów, sojuszy i organizacji, które jeszcze osłabiają polityczną sprawczość ludu, łatwo zgodzić się, że pierwiastek ludowładztwa jest w panującym modelu niewielki. Nazywanie go władzą ludu wydać się może przesadą nie tylko na tle radykalnej (choć niewątpliwie źródłowej) wersji demokracji starożytnych Aten. Czy można się dziwić, że z upływem czasu deficyt demokracji staje się coraz większym problemem? Pojawiająca się raz na cztery lata możliwość oddania głosu na listy przygotowane przez zarządy partii to zdecydowanie zbyt mało, by mówić o silnej władzy ludu, a cóż dopiero o możliwości zresetowania systemu politycznego. Doskonale ilustrują to dane ze wspomnianego już raportu Pew Research Center, w których uderza zdumiewająco niskie zaufanie społeczeństwa do władz widoczne we wszystkich największych krajach zjednoczonej Europy. Czy można dłużej udawać, że wszystko jest w porządku, gdy tak duży procent Europejczyków nie

wierzy w sprawiedliwość władzy sądowniczej [14], uważa, że wyłonionych w wyborach urzędników nie obchodzi to, co myślą zwykli ludzie [15], oraz przyjmuje, że członkowie klasy politycznej to ludzie skorumpowani [16]? A rzecz nie dotyczy tylko zepsucia i alienacji elit, ale i samych mechanizmów ludowładztwa. Liczby dostarczane przez badania przekonują, że kryzys podstawowego dla demokracji poczucia sprawczości jest faktem. Zdecydowana większość obywateli największych krajów Europy jest zdania, że wybory są pozbawionym istotnego znaczenia rytuałem (niezależnie od tego, kto wygrywa, i tak zmienia się niewiele) [17]. Biorąc pod uwagę te dane, łatwo zrozumieć, skąd bierze się poczucie beznadziejności i frustracja.

Tak oceniany jest wpływ na władze, które przynajmniej teoretycznie znajdują się pod nadzorem instytucji demokratycznych. Cóż mówić o resecie zjawisk znajdujących się poza sferą regulowaną przez państwo? A przecież w pragnieniu zresetowania rzeczywistości idzie z pewnością nie tylko o politykę w wąskim, współczesnym tego słowa znaczeniu. Osobny problem stanowią niepodlegające już nawet symbolicznej kontroli ludu nieformalne, choć niewątpliwie realne ośrodki, które skutecznie kształtują rzeczywistość polityki, gospodarki, kultury, mediów czy szeroko pojętej sfery tego, co społeczne (na przykład świat organizacji pozarządowych). Jeśli wpływ ludu na politykę państwa jest stosunkowo niewielki, tu nie istnieje wcale. Liberalna idea ograniczonego państwa, które wycofuje się z wielu kwestii związanych z rynkiem, pracą, kwestiami kultury, pamięci, obyczajów, wartości czy spraw społecznych, stworzyła obszary (w dużej mierze) pozostawione władzy najsilniejszych. W miejsce naiwnej wizji ogrodu indywidualnych wolności, gdzie kwitną ideały społeczeństwa obywatelskiego, mamy rodzaj zawłaszczonego przez plutokrację stanu natury. Zamiast spodziewanej jawności, równości, uczciwej konkurencji, wolności i debaty jest rynek i forum podzielone między

wielkich, brutalnych graczy. Rozwiązanie, które miało zabezpieczyć jednostkę przed omnipotencją państwa skazało ją na władzę ośrodków, które na opuszczonych przez państwo terytoriach sprawują ją zarówno we współczesnym wąskim tego słowa znaczeniu (na przykład poprzez wpływ na wybory, działalność ustawodawczą, sądy i egzekutywę), jak i w sensie szerokim – poprzez oddziaływanie na metapolitykę, obyczaje czy religię. Liberalna koncepcja ograniczonego państwa tworzona z myślą o zabezpieczeniu się przed groźnymi dla jednostki zakusami (niedemokratycznej) władzy pozbawiła lud wpływu na rzeczywistość pozapolityczną poprzez jedyny dostępny mu w demokracji instrument, jakim jest posiadający wyborczy mandat rząd. Nie trzeba dodawać, że wynik konfrontacji jednostki z potęgami, które w niekontrolowanych przez państwo obszarach kształtują korzystny dla siebie model rzeczywistości, jest z góry przesądzony. Niemożność odwołania się do państwa skazuje na doskonałą niemal bezbronność (nawet w sytuacji konsensu niekorzystnego dla wielkich graczy). Asymetria dostępu do informacji, kompetencji, budżetów stawia jednostkę w bardzo trudnej sytuacji zarówno wtedy, gdy w roli klienta lub pracownika konfrontuje się z międzynarodową korporacją, jak i wtedy, gdy jako zwykły obywatel staje na drodze gigantycznych korpofundacji realizujących ideologiczne projekty międzynarodowych instytucji, wielkiego kapitału czy rządów. Połączenie ideałów ograniczonego państwa z wpisaniem w DNA polityczności imperatywem działania na rzecz stabilizacji sprawia, że w pojedynku jednostki z gigantem państwo chroni giganta w imię prawa, jednostkę zaś porzuca w imię wolności. Przykłady takich asymetrycznych konfrontacji z siłami wykorzystującymi obszar teoretycznie pozostawiony domenie obywatelskich czy gospodarczych wolności można mnożyć bez końca [18]. Nie brakuje ich także w Polsce. Co wspólnego z ideałami społeczeństwa obywatelskiego mają media stworzone ze wsparciem służb, na mocy ekskluzywnych koncesji lub z zaangażowaniem zagranicznego kapitału? Wolna konkurencja? Wolne żarty! Co wspólnego ze społeczeństwem obywatelskim mają fundacje

założone przez wielki biznes, finansowane przez obce rządy lub międzynarodowych oligarchów – instytucje w istocie lobbingowe, a często po prostu polityczne, tyle że rejestrowane na prawach NGO? Czy spór tych zasobnych w nieruchomości, fundusze, etaty, know-how, stypendia i granty instytucji z prawdziwymi przedsiębiorcami obywatelskimi nie przypomina rywalizacji osiedlowego warzywniaka z międzynarodowym dyskontem? Czy nie są to nieformalne ośrodki władzy? Czy posiadają społeczny mandat, który uprawnia je do poruszania się w obszarze zastrzeżonym dla działań obywatelskich? Czy o ich pozycji nie przesądza siła, niedostępne dla innych koncesje i wpływy?

Wśród nieformalnych ośrodków władzy trudno nie wspomnieć o tych, które tworzy wielki międzynarodowy biznes. W wypadku wielu – niekoniecznie nawet największych – firm mówimy wszak o budżetach, które przewyższają budżety średniej wielkości państw. Przy firmach naprawdę ogromnych idzie o potęgę, które znany nam, by tak rzec: newtonowski, świat tradycyjnej polityki przenoszą w obszar zjawisk, jakie trudno sobie wyobrazić, stosując tradycyjne kategorie. Czy można dłużej udawać, że samo istnienie podobnych podmiotów nie zmienia panujących reguł? Czy w obliczu takich potęg postulat „odzyskania kontroli” przez wygraną w wyborach parlamentarnych nie jest po prostu naiwny?

Ale wróćmy do polityki krajowej. Jeśli nadziei na reset nie spełniają wybory, to czy może je spełnić referendum? Przykład Wielkiej Brytanii wydaje się bardzo pouczający. Jeśli kraj tak potężny i tak dbający o swoją podmiotowość, a przy tym o takich mocnych tradycjach parlamentaryzmu, zgodzi się na przeciwczony już w Irlandii i Holandii model głosowania do skutku, czyli aż do osiągnięcia żądanego przez

Brukselę wyniku, to nadzieje te spadną właściwie do zera. Czy pozostanie wyłącznie rewolucja i niekontrolowany rozpad? Chciałbym wierzyć, że nie. Fakt, że system nie posiada mechanizmów autoresetu (bo nowożytnie systemy polityczne resetowały wyłącznie wojny, rewolucje lub wielkie kryzysy), nie znaczy, że jest on niemożliwy. Nie mam wątpliwości, że polityka reprodukcją ciągłość może do pewnego stopnia neutralizować napięcie między sprawiedliwością a wolnością. Nie jestem prawnikiem i nie do mnie należy proponowanie rozwiązań. Ograniczę się do przypomnienia kilku znanych z historii, wpisanych w system polityczny mechanizmów, które dowodzą, że sytuacja nie jest bez wyjścia.

## **7. Polityczny reset w działaniu (Solon, Stary Testament, Ateny)**

Nie jest tak, że potrzeba zresetowania systemu niezdolnego już dłużej harmonizować wewnętrzne siły, napięcia i aspiracje stanowi wynalazek powojennego państwa prawa. Pojawia się zwykle tam, gdzie pozbawiona korekt stabilność staje się toksyczna, gdzie długotrwały rozdział między intuicją sprawiedliwości a rzeczywistością jest trudny do zniesienia, pośród tych, których życie doświadcza najciężej, a więc w uboższej i odsuniętej od wpływu części wspólnoty. Jeśli – jak twierdzi Arystoteles – relacja między biednymi a bogatymi należy do najważniejszych wyzwań każdej polis, to umiejętność radzenia sobie z oczekiwaniem resetu (głębokiej korekty znoszącej tę część ciężarów, ograniczeń i nierówności, która uważana jest za nadmierną) zaliczyć trzeba do najważniejszych arkanów każdej stabilnej polityki. Ponieważ jak powiedzieliśmy podobne doświadczenia niełatwo znaleźć w zasięgu żywej dziś pamięci i tradycji musimy cofnąć się do czasów, które stabilności miały w bród. Przypomnijmy kilka lekcji wziętych z bardzo odległej przeszłości. Celem nie jest badanie historii ani tym bardziej

chęć kopiowania dawnych rozwiązań, ale przyjrzenie się założeniom, które pozwalały mierzyć się z problemami właściwymi politycznej stabilności – stabilności, której nadmiar okazać się może nieludzki.

Wszelkie znamiona resetu pojętego jako akt przywrócenia równowagi zarazem społecznej, własnościowej i politycznej posiada instytucja umorzenia długów znana w starożytnej Mezopotamii, Egipcie i Grecji. Jako że zadłużenie ubogich rolników skutkowało z jednej strony rosnącą koncentracją ziemi (i władzy), z drugiej zaś – utratą własności i niewolą, strąśnięcie długów nie miało nigdy waloru operacji czysto finansowej. Wiele wskazuje na to, że w Mezopotamii, gdzie pomiędzy 2400 a 1400 rokiem przed Chrystusem historycy zidentyfikowali co najmniej trzydzieści aktów anulowania zobowiązań zaciągniętych przez lud u przedstawicieli władzy, umorzenie miało charakter instytucji gwarantującej trwałość istniejącego porządku politycznego, społecznego i gospodarczego. Łączone z wyzwaniem z niewoli za długi i obowiązkiem wypłaty odszkodowania lub zwrotu przejętej przez wierzycieli własności umorzenie gwarantowało pokój i trwałość, przywracając zniszczony przez gospodarczą entropię status quo ante [19]. Tylko w czasach czterdziestu dwóch lat rządów Hammurabiego doszło do co najmniej czterech podobnych wydarzeń, które – jak się zdaje bez wielkiego ryzyka – łączyć można z wyrażoną w królewskim kodeksie ideą ochrony słabych przed uciskiem ze strony możnych [20]. Towarzyszyły im oficjalne obchody, w ramach których przywracający wolność reset przyjmował formę uroczystego niszczenia tabliczek z rejestrami dłużników [21].

Samo powtarzane co pewien czas anulowanie długów zakłada możliwość wzięcia w nawias zasad ochrony umów i prawa własności, skądinąd fundamentalnych dla trwania i stabilności każdego porządku.

Widać tu wyraźnie zupełnie nieobecność we współczesnej polityce świadomości, że stabilność logiki prawnej nie musi wcale oznaczać stabilności społecznej ani własnościowej, więcej, że w pewnych warunkach, to właśnie ona uniemożliwia utrzymanie status quo (legalizując i chroniąc procesy koncentracji własności i władzy). Stabilność polityczna i legalizm nie są ze sobą tożsame. Ponadto zaś widać, że kurczowe trzymanie się ciągłości porządku prawnego w pewnych okolicznościach uderzać może w fundamenty porządku politycznego. Przeprowadzane przez władcę umorzenie długów (nieciągłość) okazuje się warunkiem trwałości istniejącego porządku politycznego i społecznego [22]. Dlaczego? W sytuacji politycznej ciągłości legalizm może zatruwać i niszczyć polityczność. Nieroztropna absolutyzacja wybranych – nawet niezwykle ważnych – instrumentów stabilności staje się formą autodestrukcji porządku politycznego. Kluczem jest wyższość celu rozumianego jako trwałość państwa (i przyjętego modelu polityczno-społeczno-własnościowego) nad poszczególnymi, nawet niezwykle istotnymi zasadami, które na co dzień regulują życie wspólnoty. Nieciągłość okazuje się warunkiem ciągłości.

Znakomita część politycznej sławy Solona bierze się z reform, które pod wieloma względami stanowią wzorzec resetu idealnego. W początkach VI wieku przed Chrystusem w Atenach napięcie między posiadającymi wielkie majątki ziemskie eupatrydami („posiadającymi szlachetnych przodków”) a zadłużonymi u nich *hektemoroi*, którzy zobowiązani byli oddawać im szóstą część zbiorów, wymagało pilnych rozwiązań [23]. Przyrost ludności, który przyczyniał się do podziałów małych gospodarstw, prowadził do zadłużenia, w konsekwencji zaś do nędzy i niewoli za długi. Kiedy w początkach VI wieku (594) eupatryda Solon otrzymuje misję przeprowadzenia reform (Hdt I, 29), Ateny mają już za sobą kilkadziesiąt lat bardzo poważnych napięć społecznych i

*Samo powtarzane co pewien czas anulowanie długów zakłada możliwość wzięcia w nawias zasad ochrony umów i prawa własności, skądinąd fundamentalnych dla trwania i stabilności każdego porządku. Widać tu wyraźnie zupełnie nieobecna we współczesnej polityce świadomość, że stabilność logiki prawnej nie musi wcale oznaczać stabilności społecznej ani własnościowej, więcej, że w pewnych warunkach, to właśnie ona uniemożliwia utrzymanie status quo*

politycznych niepokojów. Jak twierdzi Plutarch (*Sol.* 14), reformatorski mandat wybranego na rok archonta pochodził w równym stopniu od obu stron trwającego konfliktu, a więc pospołu od biednych i bogatych Ateńczyków. Podejmując się roli rozjemcy i prawodawcy (*dialektes; nomothetes*, por.: *Arist.*, *Ath. Pol.* 5, 2; *Hdt.* I, 29; *Plut.*, *Sol.*14), Solon stanął w obliczu pytania o proporcję ciągłości do zmiany, która

zadowolilaoby obie strony. Kompromis nie był prosty. Biedni spodziewali się nowego podziału ziemi, wykupu z niewoli i likwidacji zasady zmuszającej do oddawania szóstej części plonów, eupatrydzi zaś – najmniejszych niezbędnych ustępstw. Podczas gdy anulowanie finansowych zobowiązań, zniesienie niewoli za długi, wykupienie tych, którzy w nią już popadli, oraz oddłużenie zastawionych gospodarstw stanowiło gest wobec *hektemoroi*, zachowanie istniejącego podziału gruntów było decyzją na rzecz ciągłości. O ile jednak wszyscy pamiętają

Solonowe „strząśnięcie ciężarów” (*seisachtheia*, patrz na przykład: DL 1, 45), o tyle z pamięci umykają na ogół reformy polityczne i społeczne, bez których reset nie byłby ani pełny, ani – jak miemam – skuteczny. Wymienić warto zwłaszcza dwie, z których pierwsza dotyczy powołania sądów przysięgłych (*heliaia*) (Ath.Pol.7, 3; 9, 1), druga zaś ścisłego powiązania politycznych przywilejów i obowiązków z przynależnością do jednej z czterech klas majątkowych (obie, jak się zdaje, z drugiej fali reform z lat 592–591) [24]. Pierwsza (i to zupełnie niezależnie od faktycznych kompetencji nowych sądów) ograniczyła sądowy monopol arystokracji, wzmacniając polityczną podmiotowość ludu; druga zaś, choć odsunęła od urzędów najbiedniejszych obywateli, sprawowanie najwyższych zastrzegła wyłącznie dla najbogatszych, definitywnie złamała zasadę rządów arystokratycznych, otwierając drogę awansu dla pochodzących z ludu bogaczy [25].

Reformy Solona uchodzić mogą za wzór resetu idealnego z kilku zasadniczych powodów. Po pierwsze dlatego, że poprzedza je zgoda obu stron stwarzająca rodzaj momentu konstytucyjnego, który pozwala zachować legalny charakter gruntownych – chciałoby się powiedzieć: rewolucyjnych – zmian w *polis*. Po drugie dlatego, że modyfikując ustrojowy monopol eupatrydów, reformy nie ograniczają się wyłącznie do sfery gospodarczej i społecznej, ale uwzględniają polityczne aspiracje ludu. Po trzecie, zmiany wydają się najmniejszą konieczną korektą: zaspokajają dążenia *hektemoroi*, ale eupatrydów nie stawiają po stronie przegranych. Solonowy reset nie niszczy ciągłości politycznej. W przeciwieństwie do resetu spowodowanego przez kataklizm wojny czy rewolucji nie jest zerwaniem, lecz kompromisem, głęboką wprawdzie, ale legalną zmianą przeprowadzoną w imię sprawiedliwej równowagi rozpoznanej jako wspólne dobro obu stron. Jak o tym sam pisał Solon:

Bowiem tyle, co trzeba, ludowi władzy przyznałem,  
ani mu czci nie ujmując, ani jej dając zbyt wiele;  
tym zaś, co władzę dzierżyli i podziw budzili majątkiem,  
też nakazałem się wyzbyć tego, co z hańby się bierze.  
Tarczą mocną i jednych, i drugich chroniąc, stanąłem  
żadnej stronie nie dałem niesprawiedliwie zwyciężyć [26]

Innym niezwykle ciekawym mechanizmem instytucjonalnego resetu jest pochodząca ze Starego Testamentu praktyka świętowanego co siedem lat roku szabatowego i obchodzonego raz na pięćdziesiąt lat roku jubileuszowego (Kpł 25–26). Jeśli można mieć wątpliwości, czy tradycja znana z Mezopotamii miała charakter ustrojowy, to tu z pewnością mówimy o wbudowanej w system polityczny instytucji, której zadaniem jest stałe korygowanie patologicznych skutków stabilności [27]. Obchodzone w cyklu siedmioletnim ( $7 \times 7 + 1$ ), święta te łączą się nie tylko z analogicznym do szabasu odpoczynkiem od pracy, ale również z ideą powrotu do stanu wyjściowego, który z upływem czasu, pod wpływem ludzkiej działalności, podlega degeneracji. Idzie więc nie tylko o szabatowy odpoczynek dla ludzi i ziemi, ale o reset par excellence, a więc o anulowanie niepożądanych, choć legalnych zmian: o strząśnięcie długów, uwolnienie z niewoli za

długi i oddanie zajętej z tego powodu ziemi (oraz uzupełniający ten nakaz system uzależniający ceny od czasu pozostałego do roku szabatowego) (patrz: Kpł 25; Pwt 15, 1–18; Wj 21, 1–11; 23, 10–13).

Nakaz obchodzenia specjalnych lat posiada najwyższą powagę i sankcję. Według Księgi Kapłańskiej (25,1) Bóg przekazał go Mojżeszowi na górze Synaj. Nieprzestrzeżenie go skutkować ma nieszczęściami, które spadną na cały naród (Kpł 26). Warto zwrócić uwagę, że rzecz nie ogranicza się do arbitralnego rozkazu. Sama idea powrotu ziemi do właściciela oraz wyzwolenia z niewoli za długi ugruntowana jest teologicznie – odwołuje się mianowicie do relatywnego tylko prawa ludzkiej własności. W sensie ścisłym ziemia Kanaan jako dar Boga pozostaje Jego własnością (Kpł 25, 38). „Nie wolno sprzedawać ziemi na zawsze, bo ziemia należy do Mnie, a wy jesteście u Mnie przybyszami i osadnikami” (Kpł 25, 23). Podobnie w wypadku utraty wolności przez dłużnika niewola może być tylko okresowa. W czasie oznaczonym prawa właściciela muszą ustąpić wobec praw samego Boga, który wybawiając Izraelitów z niewoli, stał się ich Panem. „Bo oni są moimi niewolnikami, których wyprowadziłem z ziemi egipskiej” (Kpł 25,42; por. Kpł 25,55) 28. Praktyka lat szabatowych jubileuszowych jest więc formą czci oddanej Bogu (Pwt15,1) jako wyzwolicielowi (Wj 20,1–3; Pwt 5, 6–7) i Panu, czci, która przypomina o nieabsolutnym, przygodnym charakterze wszelkich ustalanych przez ludzi reguł. „Będziecie święcić pięćdziesiąty rok, oznajmijcie wyzwolenie w kraju dla wszystkich jego mieszkańców” (Kpł 25, 10). Fundamentem resetu jest wolność, która nie może zostać trwale ograniczona, a fundamentem wolności stosunek łączący Izrael z Bogiem.

W związku z tym nasuwają się trzy uwagi. Koncepcja roku szabatowego z całą oczywistością zakłada, że stabilna polityka nie zbawia od zła, nie chroni przed procesami rozpadu, nie znosi przygodności świata, nie unieważnia skutków grzechu pierworodnego, słowem: nie ma żadnych cech rzeczywistości eschatologicznej (nie oznacza końca historii). I właśnie dlatego zachowanie porządku wymaga stałej higieny – jest permanentnym przywracaniem ładu. Korygowanie zmian, które powoduje entropia, nie jest działaniem wymierzonym w stabilność, lecz elementem polityki umożliwiającej jej utrzymanie. Ale uwaga! Choć przywrócenie ładu zaburzonego pod ochroną ludzkich zasad wymaga ich zawieszenia, to jest to tylko zawieszenie czasowe. Okresowe branie ich w nawias nie oznacza unieważnienia! Idzie zarówno o reset, jak też o trwanie systemu po resecie. Warunkiem stabilności jest elastyczność – prawa nie zwalniają nas z obowiązku reagowania na wyzwania stwarzane przez niedoskonałą ze swej natury rzeczywistość. Reguły (podobnie jak cała rzeczywistość ludzka) nie są doskonałe. Zło pojawić się może nie tylko wtedy, gdy je łamiemy, ale i gdy jesteśmy im wierni. Nie są święte. Jeśli ich skutkiem jest niesprawiedliwość, muszą zostać zawieszane. Ale nie są też złe! To dzięki nim świat po resecie nie pogrąża się w anarchii. Trwa.

Starotestamentowy model bardzo dobrze wyjaśnia, dlaczego sekularne modele polityki – jak choćby ten, w którym żyjemy – mają skłonność do absolutyzowania własnych zasad i procedur (nawet tych, których przestrzeganie prowadzi je do upadku). Bez odniesienia do Boga każda relatywizacja reguł reprodukujących porządek i stabilność systemu politycznego (na przykład unieważnienie prawa własności do pożyczonych pieniędzy czy zastawionej ziemi) wiąże się z ryzykiem rozchwiania całego systemu. Tam gdzie brakuje nadrzędnej zasady, zmianie zasad szczegółowych towarzyszy zrozumiała obawa przed

utrata punktów odniesienia. Pierwszeństwo praw Bożych wobec ludzkich decyduje więc o elastyczności struktur stanowiących – ich korekta nie grozi wywołaniem wyjątkowo niebezpiecznego wrażenia arbitralności zasad rządzących porządkiem politycznym. W modelach sekularnych przygodność stanowiących reguł musi być rodzajem tajemnicy. Sztywność reguł (ich powaga i absolutyzacja) staje się wymogiem bezpieczeństwa. Systemy polityczne wyposażone w nadrzędną referencję transcendentálną są w oczywisty sposób znacznie bardziej elastyczne. Wobec trwałego punktu odniesienia niezbędne do zresetowania porządku czasowe zawieszenie istotnych nawet zasad nie oznacza politycznego końca świata.

I uwaga trzecia. Starotestamentalny reset ograniczony do narodu wybranego zapowiada teologię polityczną, która w świecie chrześcijańskim stworzy uniwersalny fundament politycznej wolności i równości każdego z osobna człowieka. Trudno wątpić, że fundament ten umieszczony w kulturach pozbawionych instrumentu cyklicznego resetu staje się źródłem stałego napięcia z dziedzicznymi formami społecznej i politycznej nierówności. Nie będzie żadną przesadą, jeśli za prapoczątek obecnego kryzysu (i wielu mu podobnych) uznamy moment, kiedy tradycja jubileuszowego wyzwolenia została ogłoszona jako podstawowe orędzie Dobrej Nowiny (Łk 4,16–30) 29, orędzie wolności przede wszystkim duchowej, ale przecież mającej oczywisty wpływ na ocenę rzeczywistości politycznej.

Na koniec omówmy jeszcze dwie instytucje wzięte z ateńskiej demokracji. Obie cieszą się złą sławą. Obie wydają się godne uwagi, ponieważ (niezależnie od ich oczywistych wad) skutecznie służyły higienie demokracji zagrożonej przez nieformalne struktury władzy. Pierwsza to losowanie urzędów, druga – ostracyzm. Dlaczego cieszą się

*Systemy polityczne  
wyposażone w nadrzędną  
referencję transcendentálną  
są w oczywisty sposób  
znacznie bardziej elastyczne*

aż tak złą reputacją?  
Są doskonałymi  
wykwitami  
egalitarystycznego  
ducha demokracji  
bezpośredniej.  
Wyrażają jej ideały i  
jej obsesje. Stanowią  
świadectwo

niewątpliwej siły i podmiotowości ludu, ale – zdaniem krytyków, których zarzuty niełatwo jest oddalić – wyrastają z pogardy dla każdej nierówności, nawet tej, która opiera się na różnicy zasług, talentów, umiejętności i doświadczeń. Nie tylko są więc doskonale antyarystokratyczne w sensie niechęci wobec idei dziedziczenia nieuzasadnionych zasługami przywilejów, ale wywracają do góry nogami każdą hierarchię rzeczywistych zasług. Jeśli mimo to warto im się przyjrzeć, to wcale nie wyłącznie dlatego, że zostały przez swych krytyków zdemonizowane. Ważniejszym powodem wydaje się to, że wyrastają z bardzo przenikliwej diagnozy niebezpieczeństw, na które dziś jesteśmy niemal całkowicie ślepi, i – wbrew dzisiejszemu sceptycyzmowi – pokazują, iż demokratyczne procedury ograniczające siłę nieformalnych struktur władzy są nie tylko pożądane, ale też możliwe.

To, że losowanie urzędów traktowano jako jeden z najważniejszych rysów ludowładztwa, nie ulega żadnym wątpliwości. Widać to w przedstawionej przez Herodota debacie ustrojowej (Hdt. 3, 80, 6) czy tych fragmentach *Polityki* Arystotelesa, gdzie filozof omawia cechy ustrojów mieszanych (np. 1294 b 8–9). Czy jednak rzeczywiście szło w niej przede wszystkim o równość w znaczeniu, które podpowiadają nam arystokratyczni krytycy (Xen., *Mem.*1. 2. 9; *Arist., Rhet.*1393 b 4–8; Pl.,

*Leg 757b*)? Zdaniem Mogensa Hermana Hansena wiele wskazuje na to, że nie. „Nowożytni historycy często łączą demokratyczną preferencję dla losowania z demokratyczną wiarą w równość, ale znowu jedynie krytycy demokracji łączyli losowanie z równością, podczas gdy sami demokraci, jak się zdaje, woleli losowanie nie dlatego, że jest oczywistą metodą selekcji, gdy wszyscy są podobni, lecz dlatego, że zabezpieczało ono dobrze uprawnienia ludu, zapobiegało walkom i przeciwdziała korupcji” [30]. Losowanie na stosunkowo krótkie kadencje przy koniecznym w razie podobnej rotacji ograniczeniu kompetencji bardzo utrudniało możliwość wikłania urzędników w bieżącą grę interesów: ograniczało możliwość korupcji, znacznie zmniejszając przy tym pole, na którym mogła rozgrywać się walka stronnictw (co w konsekwencji ograniczało również ryzyko *stasis*) [31]. Losowanie nie tyle zatem resetowało system, ile minimalizowało ryzyko zachodzenia wielu niekorzystnych zjawisk – było profilaktyką, nie kuracją. Ta z naszej perspektywy niewątpliwie niezwykle ekstrawagancka procedura znacznie utrudniała powstawanie elitarnych kast urzędniczych będących z jednej strony polem walki o nieformalne wpływy, z drugiej zaś – grupami interesu walczącymi o maksymalizację swojej władzy w *polis*.

Dużo – i nie bez racji – czarniejsza jest arystokratyczna legenda ostracyzmu, instytucji wprowadzonej przez Klejstenesa, która pozwalała skazać na dziesięcioletnie wygnanie każdego, kogo lud podejrzewał o nadmierny apetyt na władzę. Opowiedziana przez Plutarcha anegdota o Arystydesie, którego ostracyzm anonimowy wieśniak uzasadnia niechęcią do „wysłuchiwania wszędzie, że jest sprawiedliwy” (Plut., *Arist.* 7, 7), doskonale ilustruje ciemne strony tej demokratycznej procedury. Nie próbując jej bronić, warto jednak przypomnieć, że powodem wprowadzenia tej arcydemokratycznej praktyki nie była wcale próba instytucjonalizacji zawiści i żądz

szkodzenia (Plut., *Arist.*7,2), lecz lęk przed niepokojami i rozłamem wywołanym niszczycielską dla państwa rywalizacją zbyt ambitnych polityków [32]. Obarczony wszystkimi wadami karania za przestępstwo zaledwie możliwe i hipotetyczne ostracyzm uderzać miał w nadmierną (i nieformalną) potęgę ludzi, którzy stawali się groźni dla demokracji i bezpieczeństwa państwa. Choć jako instytucja ostracyzm jest zatem nie do obrony, z pewnością stanowił próbę zapobiegania tym samym niebezpieczeństwom, z którymi dziś nie potrafimy sobie radzić.

Abstrahując od kontekstu antycznego, trudno zaprzeczyć, że obie procedury mierzą się z zasadniczym problemem naszej doby – z kwestią władzy, która wymyka się spod demokratycznej kontroli. Chodzi więc, po pierwsze, o pozór wyboru, który de facto dokonuje się gdzieś poza oczami wyborców, a prowadzi do uwikłania urzędów w walkę polityczną oraz biznesowo-polityczne zależności; po drugie, o faktyczną nieusuwalność z grona ludzi sprawujących rządy; po trzecie – o brak instrumentów, które pozwoliłyby ograniczać wpływy nieformalnych ośrodków władzy (w świecie polityki, biznesu, mediów). Można zżymać się na ochlokratyczny ostracyzm, ale czy władza elit mających bardzo niejasny mandat jest rzeczywiście rozwiązaniem lepszym?

## **8. Czekaając na Solona**

Przywołane przykłady dobrze wyjaśniają, dlaczego głęboka korekta systemu jest dzisiaj tak trudna. Z pewnością brak nam wspólnej diagnozy źródeł kryzysu, brak wspólnej wizji właściwego porządku, a sprawy nie ułatwia sekularyzacja polityki, która wolność i równość wyrывa z ontologicznego gruntu, po którym twardo stąpali czytelnicy

Pięcioksięgu i Ewangelii. Na domiar złego, konflikt między ludem a funkcjonalną arystokracją zdefiniowany jako konflikt między „populistami” a „oligarchią” (jak mówią sobie nawzajem przeciwnicy) traktowany jest jako rodzaj wojny, której cel stanowi zwycięstwo jednej ze stron. To oczywisty absurd. Iluzja świata bez „nich” – a więc odpowiednio bez „ciemnego, roszczeniowego ludu” lub bez „skorumpowanych elit” – jest fikcją, i to fikcją niezwykle groźną. Dlaczego? Bo konflikt zdefiniowany jako egzystencjalny (by nie powiedzieć metafizyczny) zamyka drogę do warunkującej reset deeskalacji, ograniczając pole manewru do dwu rozwiązań (przyjętych pod groźbą lub po eksplozji rewolucyjnego chaosu). Pierwsza z nich, to – mówiąc w wielkim uproszczeniu – rządy wspieranego przez lud silnego człowieka, a więc przekształconej w dyktaturę nieliberalnej demokracji. Druga to jakaś forma dyktatury postliberalnej, która pozwoli wprowadzić zachować władzę i stan posiadania obecnych elit, lecz w imię stabilności radykalnie ograniczy wolności obywatelskie (zwłaszcza słowa, zgromadzeń, zrzeszania się itd.), wprowadzając rodzaj permanentnego stanu wyjątkowego (zachowującego pozory czasowo tylko zawieszanej demokracji). Czy muszę mówić, że oba rozwiązania są w najwyższym stopniu odpychające? By ich uniknąć system musi odzyskać równowagę. Z pewnością warto o nią walczyć, eskalacja konfliktu nie obiecuje bowiem niczego poza perspektywą chaosu i zamordyzmu. Pierwsze przejawy obu widać już w Europie gołym okiem. Do tego jednak żeby zejść z tej drogi niezbędna jest zgoda współczesnych *hektemoroi* z dzisiejszymi eupatrydami (zgoda co do konieczności i kształtu resetu). Czy jest na nią szansa?

Starożytne przykłady pokazują bardzo dobitnie, że nowożytna polityka bezrefleksyjnie absolutyzuje stabilność definiowaną nie jako trwałość podmiotów politycznych, ale jako niezmienność każdej z osobna składowej istniejącego systemu. Paradoksalnie mimo prawnego

*Paradoksalnie mimo  
prawnego porządku i  
deklaratywnego egalitaryzmu  
współczesny Zachód  
zachowuje się tak, jakby prawa  
(zwłaszcza gospodarcze)  
spadły z nieba, a elity  
wywodziły się z rodzin bogów.  
Niestety absolutyzacja  
stabilności prowadzi do utraty  
zdolności elastycznego  
reagowania na aspiracje i  
trudności wielkich grup  
społecznych oraz do  
stopniowego kosztowania  
rosnących podziałów i różnic*

porządku i  
deklaratywnego  
egalitaryzmu  
współczesny Zachód  
zachowuje się tak,  
jakby prawa  
(zwłaszcza  
gospodarcze) spadły  
z nieba, a elity  
wywodziły się z  
rodzin bogów.  
Niestety  
absolutyzacja  
stabilności prowadzi  
do utraty zdolności  
elastycznego  
reagowania na  
aspiracje i trudności  
wielkich grup  
społecznych oraz do  
stopniowego  
kosztowania rosnących

podziałów i różnic. W połączeniu z silną retoryką demokratyczną (wolnościową i równościową) tworzy to mieszankę wybuchową. Z powodów, których wyjaśnienie wymagałoby osobnego studium, reset traktowany jest nie jako niezbędna korekta systemu, ale zgoda na wyjątek, który uruchomi niszczycielski efekt domina. Fanatyczny legalizm broni każdego guzika, przekonany, że tylko w ten sposób zdolny będzie powstrzymać prowadzące do nieuchronnej katastrofy zmiany. Tymczasem zamiast powstrzymać, legalizuje je w formie, która odbierana jest jako coraz bardziej niesprawiedliwa. To wielki błąd. Stabilność (i praworządność) ochronić mogą nie ci, którzy chcą

zakląć czas mantrą o *rule of law*, tylko ci, którzy zdecydują się na zasadnicze reformy. System nieelastyczny, skostniały, system niezdolny dostosowywać się do nowych wyzwań musi upaść. Europie potrzebna jest odwaga i rozmach Solona: cięcia zadłużenia, zmiany w logice redystrybucji, przeciwdziałanie kumulacji kapitału i wreszcie zmiany wprawno-ustrojowym porządku współczesnego Zachodu, a tu zwłaszcza rzeczywista demokratyzacja i upodmiotowienie ludu. Jeśli chcemy uniknąć rewolucji, reset jest konieczny. Czy możliwy? Nie jestem optymistą. Wprawdzie Emmanuel Macron przyznający publicznie, że Francuzi mają problem z niesprawiedliwością społeczną, lekceważeniem ze strony elit i brakiem wpływu na procesy polityczne, to dowód, że – przynajmniej na poziomie retorycznym – coś się zmienia, ale przecież ciągle jest to tylko gadanie. Ile mamy czasu na wnioski? Trudno powiedzieć. Na razie czas kupują partie protestu. Wbrew temu, co sądzą o nich rozeźlone elity, to właśnie populiści występują dziś w roli katechona powstrzymującego rewolucyjny armagedon. Jak długo potrafią przekonać, by ludzie, zamiast palić miasta, szli do wyborów, mamy jeszcze czas, by pracować nad ideą i zakresem resetu. Jedno wydaje się pewne: to nie potrwa wiecznie

*Dariusz Karłowicz*

Tekst pochodzi z 11. numeru rocznika *Teologia Polityczna*.

---

Przypisy:

[1] Sofokles, *Trachinki* 945–946, przeł. A. Libera, w: Sofokles, *Tragedie*, tom 2, Warszawa 2018, s. 319.

[2] W niedawnych badaniach Eurobarometru (Standard Eurobarometer 90 Autumn 2018 Survey) warto zwrócić uwagę na kraje, które tworzyły obecny porządek europejski: mam na myśli Wielką Brytanię (w EWG od 1973), Francję, Włochy (współzałożycieli Wspólnoty Węgla i Stali w 1951) oraz Hiszpanię (w EWG od 1986), a więc odpowiednio drugą, trzecią, czwartą i piątą gospodarkę UE. Proporcja zaufania do UE w stosunku do jego braku w opuszczającej UE WB (gdzie wynosi 31/53 procent) nie odbiega zasadniczo od wyniku Francji (33/57 procent), Włoch (36/55 procent) i Hiszpanii (38/54 procent). We wszystkich czterech przypadkach jesteśmy poniżej średniej (42/48 procent) i zdecydowanie poniżej wyniku Niemiec (51/39 procent). W Polsce ta proporcja wynosi 47/41 procent.

[3] Tak sondażu YouGov dla European Council on Foreign Affairs uważa 51 procent Niemców, 58 procent Francuzów, Włochów i Polaków i 40 procent Hiszpanów. Patrz:

<https://www.theguardian.com/world/2019/may/15/majority-of-europeans-expect-end-of-eu-within-20-years>;

[https://www.ecfr.eu/article/commentary\\_seven\\_days\\_to\\_save\\_the\\_european\\_union](https://www.ecfr.eu/article/commentary_seven_days_to_save_the_european_union);

<http://biqdata.wyborcza.pl/biqdata/7,159116,24788525,badani-w-14-krajach-unia-chyli-sie-ku-upadkowi.html> (dostęp: 26.06.2019).

[4] Źródło jak wyżej.

[5] Z badań Eurobarometru (Parlemeter 2018, Eurobarometer Survey 90 of the European Parliament) wynika, że poparcie dla dalszego członkostwa mogłoby okazać się problematyczne w czterech krajach UE. W hipotetycznym referendum za pozostaniem w UE głosowałyby 44 procent Włochów, 47 procent Czechów, 52 procent Chorwatów i 53 procent Brytyjczyków. Porównawczo wynik Niemiec to 76 procent, Polski 87 procent za pozostaniem w UE. <http://www.europarl.europa.eu/at-your-service/files/be-heard/eurobarometer/2018/parlemeter-2018/report/en-parlemeter-2018.pdf> (dostęp: 26.06.2019). Warto pamiętać, że z większości badań przeprowadzanych w trakcie kampanii referendalnej 2016 roku w Wielkiej Brytanii (włącznie z sondażem w dniu głosowania) liczba zwolenników dalszego członkostwa przewyższała liczbę deklarujących chęć opuszczenia UE.

[6] Warto odnotować trzy ściśle powiązane ze sobą fakty: mimo upływu czasu, ustępstw władzy oraz szeroko nagłaśnianych aktów wandalizmu żółte kamizelki popiera nadal blisko połowa Francuzów; kolejne decyzje nie poprawiły popularności prezydenta, która w kwietniu sięgnęła dna (27 procent), spadając w okolice wyniku z pierwszej tury wyborów (24,1 procent); poziom zaufania do UE osiągnął nienotowane wcześniej minima. Ostatnie badania Odox pokazują, że tylko 29 procent Francuzów „wiąże nadzieje z UE” (przy 31 procentach, które odnoszą się do niej wrogo, i 40 procentach obojętnych). Zaufanie spada na łeb na szyję. Jeszcze w 2003 nadzieje z UE wiązało 61 procent Francuzów. Dane Odox podają za: J. Bielecki, *Francja oddala się od Europy*, „Plus Minus”, 4–5 maja 2019, s. 20.

[7] W Polsce mamy tylko 25 procent pesymistów.

[https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg\\_2019-03-19\\_views-of-the-eu\\_0-05/](https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg_2019-03-19_views-of-the-eu_0-05/) (dostęp: 26.06.2019). Warto dodać, że we wszystkich wymienionych krajach z wyjątkiem Niemiec większość badanych uważa, że obecna sytuacja jest gorsza od tej sprzed dwudziestu lat. Z taką opinią zgadza się 46 procent Niemców, 53 procent Brytyjczyków, 56 procent Francuzów, 72 procent Włochów i 62 procent Hiszpanów. Powiada się, że nadzieja umiera ostatnia. Oby to nie była prawda.

[8] „Dlaczegoż miałbym bać się ich wyroków,  
Skoro każdy mój czyn zgodny jest z prawem?

(...) funt ciała,

Którego żądam, został zakupiony

Za znaczną sumę, jest moją własnością,

I chcę go mieć. A jeśli odmówicie,

Hańba waszemu prawu!”

(*Kupiec wenecki*, IV, I, 89–101, za: William Shakespeare, *Komedie*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2012, s. 571).

[9] Według Pew Research Center o tym, że zdaniem wielu ludzi sytuacja finansowa pogorszyła się przez ostatnie dwadzieścia lat („Many say financial situation has worsened for average people”), przekonanych jest 46 procent Niemców, 53 procent Anglików, 56 procent Francuzów, 62 procent Hiszpanów, 72 procent Włochów, 87 procent Greków i zaledwie 17 procent Polaków.

[https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg\\_2019-03-19\\_views-of-the-eu\\_0-04/](https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg_2019-03-19_views-of-the-eu_0-04/) (dostęp: 26.06.2019). Przekonanie, że następnemu pokoleniu będzie wiodło się gorzej niż obecnemu, podziela 52 procent Niemców, 80 procent Francuzów, 72 procent Hiszpanów, 61 procent Włochów, 69 procent Greków i tylko 25 procent Polaków. [https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg\\_2019-03-19\\_views-of-the-eu\\_0-05/](https://www.pewglobal.org/2019/03/19/europeans-credit-eu-with-promoting-peace-and-prosperity-but-say-brussels-is-out-of-touch-with-its-citizens/pg_2019-03-19_views-of-the-eu_0-05/) (dostęp: 26.06.2019).

[10] W USA 58 procent, a w Polsce 44 procent. Dane na podstawie badań Pew Research Center, patrz: <https://www.pewglobal.org/2019/04/29/many-across-the-globe-are-dissatisfied-with-how-democracy-is-working/> (dostęp: 26.06.2019). Według sondażu YouGov dla European Council on Foreign Affairs tezę: „nasze państwa są zepsute”, potwierdza 41 procent Niemców, 79 procent Francuzów, 68 procent Włochów, 79 procent Hiszpanów i 55 procent Polaków, za: <http://biqdata.wyborcza.pl/biqdata/7,159116,24788525,badani-w-14-krajach-unia-chyli-sie-ku-upadkowi.html> (dostęp: 26.06.2019).

[11] Bardzo ciekawe, że słowo „reset” w znaczeniu podobnym do tego, który w tym kontekście używam, a więc resetu systemu politycznego (analogicznego do resetu komputera), pada w końcowej scenie z ust głównego stratega kampanii Leave Dominica Cummingsa (znakomity w tej roli Benedict Cumberbatch). Zdaniem Cummingsa/Cumberbatcha dokonany przez referendum reset to największa, lecz niestety bezpowrotnie stracona szansa brytyjskiej polityki. Reset dokonał się, ale klasa polityczna nie stanęła na wysokości zadania. Zamiast skorzystać z możliwości zaczęcia od początku – mówi przed komisją

filmowy Cummings – politycy (cytuję z pamięci) „zrestartowali ten sam system operacyjny, tę samą zmęczoną starą politykę, jej krótkowzroczność, samolubność i małość”.

[12] Na pytanie: „czy mój głos liczy się w UE” odpowiedź „zdecydowanie tak” do „zdecydowanie nie” w WB wybrało 33/61 procent; we Francji 44/51 procent; Włoszech 31/66 procent; Hiszpanii 39/57 procent, a więc wszędzie poniżej średniej, która dla UE wynosi 49/47 procent. Wynik Niemiec wynosi: 70/27 procent, Polski zaś 60/34 procent.

[13] Patrz np.: Tomasz Grosse, *W stronę Lewiatana? O naruszeniach zasady subsydiarności w Unii Europejskiej*, <https://klubjagiellonski.pl/publikacje/w-strone-lewiatana-o-naruszeniach-zasady-subsydiarnosci-w-unii-europejskiej/> (dostęp: 26.06.2019). „Rola parlamentów narodowych w zakresie kontroli zasady subsydiarności w UE jest niewielka. Dominującą pozycję w tej procedurze pełni KE, która uzasadnia zgodność legislacji z normą pomocniczości w odniesieniu do interpretacji funkcjonalnej, a więc »lepszej« implementacji celów unijnych. W ten sposób parlamenty narodowe w niewielkim stopniu przyczyniają się do niwelowania deficytu demokratycznego UE. Zamiast tego pełnią funkcję legitymizującą dla ekspansji kompetencyjnej i rozwoju systemu regulacyjnego w UE. W orzecznictwie TSUE dotyczącym zasady subsydiarności dominuje interpretacja funkcjonalna badająca kwestię »lepszego« implementowania celu unijnego. Jeśli tylko UE postanowi, aby realizować ten cel, to z reguły bardziej funkcjonalne jest jego realizowanie za pomocą instrumentów prawnych UE aniżeli instrumentów znajdujących się w gestii państw członkowskich. Brakuje podjęcia w orzecznictwie kryterium nawiązującego do demokracji,

które jest bodaj najważniejszym aspektem subsydiarności w filozofii politycznej. Brakuje rozstrzygnięcia przez Trybunał o celowości podejmowania działań UE lub wzięcia w obronę autonomii państw członkowskich. Zarówno TSUE, jak i KE to instytucje UE, które zgodnie z traktatem realizują cele Unii. W ten sposób niejako »z urzędu« są zaangażowane w ekspansję kompetencyjną i rozwój systemu regulacyjnego w UE, a tym samym zwiększanie własnej władzy i autonomii w stosunku do państw członkowskich”.

[14] Ze zdaniem, że system sądowniczy traktuje wszystkich sprawiedliwie, nie zgadza się 36 procent Niemców, 44 procent Anglików oraz aż 60 procent Francuzów, 73 procent Włochów, 77 procent Hiszpanów i 63 procent Polaków.

[15] Tak uważa 54 procent Niemców, 55 procent Brytyjczyków, 68 procent Francuzów, 66 procent Włochów, 79 procent Hiszpanów i 61 procent Polaków.

[16] Przekonanie, że w ich kraju większość polityków jest skorumpowana, podziela 33 procent Niemców, 47 procent Anglików, 48 procent Francuzów, 70 procent Włochów, 45 procent Hiszpanów i 54 procent Polaków.

[17] Tak sądzi 65 procent Niemców, 65 procent Brytyjczyków, 60 procent Francuzów, 57 procent Włochów i 42 procent Hiszpanów.

[18] Doskonały przykład stanowić może przedwyborcza współpraca Fundacji Bertelsmanna z Komisją Europejską i rządem Niemiec. Patrz: <https://www.politico.eu/article/europe-inc-bertelsmann-business-philanthropy-politics/> (dostęp: 26.06.2019).

[19] M. Hudson, *The Lost Tradition of Biblical Debt Cancellations*, 1993, s. 8–9; <https://armstrongeconomics-wp.s3.amazonaws.com/2015/10/Debt-Cancellations.pdf> (dostęp: 26.06.2019).

[20] Patrz: E. Toussaint, *The Long Tradition of Debt Cancellation in Mesopotamia and Egypt from 3000 to 1000 BC*, 2 September 2012, [http://www.cadtm.org/The-Long-Tradition-of-Debt?debut\\_tous\\_articles\\_auteur=10#nb2](http://www.cadtm.org/The-Long-Tradition-of-Debt?debut_tous_articles_auteur=10#nb2) (dostęp: 26.06.2019).

[21] Tamże.

[22] Wiele wskazuje na to, że kryzys Mezopotamii po 1400 roku przed Chrystusem wiązał się ściśle z upadkiem modelu skutecznie konserwowanego przez reset, patrz: Eric Toussaint, dz. cyt.

[23] Więcej na ten temat na przykład w: K. Kumaniecki, *Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu*, Warszawa 1964, s. 73–81; M.H. Hansen, *Demokracja ateńska w czasach Demostenesa*, przeł. R. Kulesza, Warszawa 1999, s. 45–48; B. Bravo i E. Wipszycka, *Historia starożytnych Greków*, t. 1, Warszawa 1988, s. 237–247; B. Bravo,

*Reformy polityczne Solona a struktura wspólnoty obywateli ateńskich w okresie archaicznym*, „Przegląd Historyczny” 1966, nr 87/2, s. 169–205.

[24] Por. M.H. Hansen, dz. cyt., s. 46.

[25] Sądzę, że mit Solonowych początków demokracji łączyć można zwłaszcza z powołaniem Sądu Ludowego. Nawet jeśli droga z arystokracji do demokracji rzeczywiście prowadziła przez plutokrację, to polityczne przywileje bogaczy nie nadają się na materiał demokratycznej mitologii. Inaczej gdy idzie o sądy. Analizując rozwój ateńskiej demokracji V wieku, Christian Meier (*Początki polityczności u Greków*, przeł. M. Cichocki, Warszawa 2012) przekonująco pokazuje, że podział wpływów na wymiar sprawiedliwości stanowi najlepszy wskaźnik rzeczywistej ustrojowej proporcji pierwiastka arystokratycznego i ludowego. Zasadę mówiącą, że im większa kontrola ludu nad sądami, tym więcej faktycznej demokracji, w V wieku doskonale ilustruje proces stopniowego ograniczania kompetencji areopagu na rzecz sądowych uprawnień ludu – co wydaje się zresztą obserwacją bardzo z perspektywy dzisiejszych sporów pouczającą.

[26] *Sol.* frg. 5 (7), cytuję za: Plut. *Sol.* 17, 5, przeł. K. Korus, L. Trzcionkowski, w: Plutarch, *Żywoty równoległe*, t. 2, Warszawa 2005, s. 76.

[27] Jak zauważa Tim Atwater w artykule, któremu ten akapit bardzo wiele zawdzięcza (*Debt Cancellation: Biblical Norm, Not Exception*): „In the Biblical view, debt is always the responsibility of creditors as

well as debtors. In the ancient Near East, even pagan kings periodically cancelled debts to allow the poor a measure of respite from harsh conditions. The Biblical mandate goes much further, reordering the whole economy around the need for periodic cancellation of debt and restoration of community”. Patrz:

<https://www.jubileeusa.org/faith/faith-and-worship-resources/debt-cancellation-a-biblical-norm.html> (dostęp: 26.06.2019).

[28] Pwt 15, 12–15: „Jeśli się tobie sprzeda brat twój, Hebrajczyk lub Hebrajka, będzie niewolnikiem przez sześć lat. W siódmym roku wolnym go wypuścisz od siebie. (...) Dasz mu coś z tego, w czym Pan, Bóg twój, tobie pobłogosławił. Przypomnisz sobie, żeś był niewolnikiem w ziemi egipskiej i wybawił cię Pan, Bóg twój. Dlatego ci daję dzisiaj ten nakaz”. Niewolnikami dziedzicznymi mogą być tylko obcy (Kpł 44–46).

[29] „Przyszedł również do Nazaretu, gdzie się wychował. W dzień szabatu udał się swoim zwyczajem do synagogi i powstał, aby czytać. Podano Mu księgę proroka Izajasza. Rozwinąwszy księgę, natrafił na miejsce, gdzie było napisane:

Duch Pański spoczywa na Mnie,  
ponieważ Mnie namaścił i posłał Mnie,  
abym ubogim niósł dobrą nowinę,  
więźniom głosił wolność, a niewidomym przejrzenie;  
abym uciśnionych odsyłał wolnymi,  
abym obwoływał rok łaski od Pana.

Zwinąwszy księgę oddał słudze i usiadł; a oczy wszystkich w synagodze były w Nim utkwione. Począł więc mówić do nich: »Dziś spełniły się te słowa Pisma, któreście słyszeli«.

[30] M.H. Hansen, dz. cyt., s. 96.

[31] Por. M.H. Hansen, dz. cyt., s. 140.

[32] Por. M.H. Hansen, dz. cyt., s. 51.